№ 10. Warszawa, dnia 26 Lutego (10 Marca) 1883 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

Ryszard Wagner.

Przez

Sewerynę Duchińską.

Kilka miesięcy temu, miasto Bayreuth ukryte w cieniu gór Frankonii, było celem pielgrzymek artystycznych ze wszystkich krajów Europy, gdy Ryszard Wagner ogłosił światu, pierwsze przedstawienie Percivala. Tysiące wieńców posypało się pod stopy tryumfującemu kompozytorowi. Któżby przewidział wówczas, że nie upłynie pół roku, a nowi pielgrzymi przyciągną znów do Bayreuth, i tysiące nowych wieńców, złożą na grobie mistrza.

Wieść o skonie Wag era zmarłego w Wenecyi głęboko poruszyła świat muzyczny. Wizerunek jego odbity we wszystkich illustrowanych pismach, ukazuje tę niepospolitą postać, utwory jego rozlegają się po wszystkich niemal teatrach i salach koncertowych. Wobec tak powszechnego zajęcia i my pragniemy wspomnieć o zmarłym mistrzu i rzucić okiem na wielki szereg dzieł przez niego wykonanych.

Syn ubogiej rodziny mieszczańskiej, Ryszard Wagner urodził się w Lipsku, w 1813 r.

W tymże roku utracił ojca. Matka weszła w powtórne związki z artystą dramatycznym, w którym sierota znalazł troskliwego opiekuna, lecz i ten wkrótce umarł. W ostatnich chwilach utyskując nad małym Ryszardem, powtarzał do żony: „szkoda! byłbym wychował *na coś* tego chłopca!" Matka powtórzyła te słowa dziecku. Myśl, że może być czemsić na świecie, rozbudziła w nim niezwykłą energią.

Młodzian ukończył szkoły, z pomiędzy nauk porywały go dwa przedmioty, muzyka i poezya, wyuczywszy się po angielsku, z zapałem odczytywał Szekspira, wreszcie sam popróbował sił w tragedyi. Próby te, jakkolwiek bez wartości, odznaczają się wszystkie rozległym planem. W jednej z nich, zamaszysty poeta, położył trupem na ziemi, aż do czterdziestu osób. Usiłował wprowadzić muzykę do tragicznych utworów; nie w formie zwykłych chórów greckich ale w przygrywkach towarzyszących deklamacyi. Ten rodzaj przyjął później w swych lirycznych dramatach.

Wyuczył się muzyki w oka mgnieniu, obdarzony szczególnym darem, zaledwie posłyszał najtrudniejszą symfonią, wnet umiał ją na pamięć. Nie szło mu nigdy o sławę biegłego wirtuoza, rzucił się raczej odrazu do kompozycyi. Z początku szedł w ślad za Bethowenem, nie długo to trwało, porzucił wkrótce wszelkie wzory, torował sobie własną drogę.

Wcześnie Wagner rozpoczął burzliwy zawód, mając lat dwadzieścia, dyrygował już małym teatrzykiem w Magdeburgu, następnie w Rydze. Tam z romansu Bulwera *Renzi*, wysnuł wątek do pierwszej kompozycyi. Przekonany o wartości utworu, zabiera młodą żonę, śpieszy z nią do Paryża, ani wątpi o rychłych tryumfach. Opatrzony w listy rekomendacyjne, kołacze w progi Meyerbeera, błaga wsparcia i rady. Autor Hugonotów przyjął go uprzejmie, wysłuchał dwóch pierwszych aktów opery: pyta Wagnera co zamierza na przyszłość. Zachęcony tem młody kompozytor z zapałem wypowiada swe nadzieje.

Meyerbeer znał z doświadczenia jak trudne są wszelkie początki, nie chce go zrażać, zapytuje przecież delikatnie, czy ma z czego żyć przez lat dziesięć.

— Nie mam! — zawołał Wagner przerażony.

Mistrz skinął smutno głową, przyrzekł jednak pomoc i nakreślił niezwłocznie kilka listów po

lecających. Wagner pochwycił je drżącą z radości ręką.

Niestety! przekonał się wkrótce, jak słuszne były obawy Meyerbeera. Listy jego przyjmowano z poszanowaniem. Każdy zbywał młodzieńca grzecznemi słowy, jak zdawkową monetę, lecz nikt nie brał na seryo rekomendacyi. Wszędzie Wagner spotykał twardy opór.

Życie jego w Paryżu nadzwyczaj było smutne, mieszkał w ubogiej izdebce, w ciasnej, zatęchłej części miasta. Znosił najcięższe upokorzenie dla artysty, zmuszony dla kawałka chleba rozpraszać talent na drobnostki. Układał na fortepian ustępy z Faworyty, dorabiał muzykę do piosnek Hejnego, Wiktora Hugo i innych. Po całych dniach kołatał do wydawców, błagając o robotę. „Drżę gdy pomyślę o tem, pisze Wagner, musiałem komponować *pot-poury* i *galopady*. Niestety i tu spotykał mnie zawód. Wydawca gotów był drukować je, lecz *gratis!* Nie miałem imienia! Raz odprawiony w ten sposób, uczułem gwałtowną rozpacz, ale wściekłość dodała mi bodźca! Rzuciłem na papier kilka piekielnych galopad, otrzymałem za nie jakieś honorarium!"

Nędza tymczasem coraz bardziej dociska, Wagner chwyta za pióro, kreśli po niemiecku artykuły do „Gazety muzycznej", drukowano je w tłomaczeniu francuzkiem.

W piśmie tem przechowały się ówczesne opinie Wagnera. Przyznaje on niezaprzeczoną wyższość szkole francuzkiej nad niemiecką: „Artyści francuzcy, mówi, wykonali dzieła godne uwielbienia bez granic: wierne zwierciadło ducha narodu pełnego najwyższych zalet."

Niemą z Portici Aubera, podnosi do najwyższej apoteozy, patrzymy jak się wyraża o niej. „Pyszny ten dramat, oddany z dziwnym blaskiem kolorytu, pełen rzewnych melodyi, oryginalności i siły, nie jest-że idealnem odtworzeniem ostatnich dziejów narodu francuzkiego? Sam tylko Francuz mógł wykonać takie dzieło, godne służyć za wzór światu ucywilizowanemu. Cóż więc dziwnego, że Niemiec bezstronny w sądach, z szczerym zapałem przyklaskuje postępom sąsiedniego narodu?"

Rienzi tymczasem, nie mógł doczekać się przedstawienia. Wagner doprowadzony do ostatecznej nędzy, przeniósł się z żoną do Mendon: tu w ciszy wiejskiej, z całą energią rzucił się do nowej kompozycyi. Wziął za przedmiot legendę o błąkającym się Holendrze: *Der fliegende Holender*. Był to pierwszy krok na nowej drodze. Zdaniem Wagnera przedmiot ściśle historyczny nie nadaje się do lirycznego dramatu. Wówczas tylko utwór zwać można oryginalnym i narodowym, gdy przedstawia mythy streszczające w sobie filozofią praojców i rodzimą ich fantazyą.

Taki to przedmiot wziął Wagner do Holendra. W tym smutnym bohaterze, skazanym na wieczne błąkanie się po falach oceanu, kompozytor przedstawił burze własnego życia, szalone walki z losem. Oto wątek legendy.

Kapitan Wanderduken, chce opłynąć przylądek, mimo że dmie wicher przeciwny. Klnie się na szatana, że spełni co zamierzył, choćby mu przyszło płynąć do dnia ostatecznego sądu. Jeśli zuchwały żeglarz znajdzie kobietę, gotową poświęcić dlań życie, miłość jej rozwiąże moc zaklęcia. Ale szatan nie wierzy w cnotę kobiet.

Jakoż Wanderduken nieraz doznał zawodu, wreszcie dnia jednego, stanąwszy chwilę u wybrzeża, poznaje dzieweczkę, którą niegdyś ukochał, a która pozostała mu wierną. Nie chce jednak narażać jej na przygody, rozwija żagle, odpływa od brzegu. Dzieweczka widząc odpływający okręt rzuca się w morze ze skały i ofiarą ocala ukochanego.

Podczas gdy Wagner pracował w Mendon, inni pracowali na rzecz jego w Niemczech. Rienzi odtrącony w Paryżu znalazł przyjęcie w Dreznie. Było to w roku 1841. Na wieść o tem Wagner pospiesza do Drezna, obejmuje dyrekcyą opery, Rienzi przyjęty z zapałem otwiera mu drogę do nowych tryumfów. Wkrótce potem wystawiony *Holender*, większe jeszcze wywołał oklaski, jako utwór zupełnie oryginalny.

Zachęcony powodzeniem, maestro zabrał się do Tanhauzera. Jak zwykle, sam ułożył liryczny poemat: dajemy treść jego w kilku słowach.

W akcie pierwszym widzimy Barda Tanhauzera, w królestwie Wenery, otoczonej gronem Nimf. Opiewa miłość i jej uroki, ale ponieważ jest chrześcianinem, pogański świat wystarczyć mu nie może. Postanawia wyrwać się z tych czarów, wymawia imię Bogarodzicy i nagle moc tajemna, przenosi go w głąb' turyngskich lasów w okolice Wartburga. Rycerze witają Barda, oznajmiają mu, że zaczem odbiegł na górę *Wenusbery*, sterczącą opodal za miastem, pieśni jego poruszyły serce Elżbiety, bratanki Hermana hrabiego Turyngii.

Na dworze Hermana odbywa się poetyczny konkurs, ręka Elżbiety będzie nagrodą tryumfatora. Nadbiegają poeci z całych Niemiec. Wolfram opiewa miłość idealną. Tanhauzer upojony atmosferą Wenusbergu, wysławia miłość pogańską, przyznaje, że sam zakosztował jej czarów. Rycerstwo chwyta za oręż, miecze błysły nad głową Barda. Tu słodka Elżbieta występuje w obronie potępionego. Na prośby jej hrabia Turyngii, pozwala mu złączyć się z gronem pielgrzymów wychodzących właśnie do Rzymu. Tanhauzer pospiesza z nimi, lecz ojciec święty odmawia przebaczenia. Zrozpaczony Bard gotów już powrócić na Wenusberg, gdy z daleka posłyszał dzwon pogrzebowy, oznajmiający śmierć Elżbiety. Jakby uderzony piorunem, Bard kona w objęciu Wolframa szepcząc: „Elżbieto święta, módl się za mnie!"

Tanhauzer przyjęty był z zapałem w Dreznie, ale w innych miastach niemieckich silną wywołał protestacyą. Rosnąca sława Wagnera, pobudziła wielu zawistnych przeciw niemu. Rutyniści zasklepieni w dawnych formułach, nie mogli też przebaczyć śmiałemu nowatorowi, że burzył ich pojęcia. Co więcej, dumny kompozytor odstręczał ludzi szorstkiem i nieprzystępnem obejściem. Ostre pociski prasy rozdrażniły gwałtowny jego umysł. Nadszedł rok 1848. Prąd rewolucyjny obiegł Europę. Wagner wziął czynny udział w walce na barykadach drezdeńskich. Gdy wojska pruskie na wezwanie króla saskiego, przywróciły w mieście porządek, dyrektor opery zmuszony był ratować się ucieczką. Pośpieszył do Szwajcaryi, zamieszkał w Zurychu gdzie objął dyrekcyą teatru.

W tych czasach walk i niepokojów, Wagner utworzył jedno z najpiękniejszych dzieł swoich *Lohengrina*. Treść poematu wydobył z mytycznych podań staro-bretońskich, o królu Arturze.

W okolicy bezludnej, na szczycie góry, wznosi się przepyszna świątynia *San Graal*. Tam rycerze czci nieskażonej przechowują cudną czaszę, w niej to Chrystus Pan,. poświęcił chleb i wino przy ostatniej wieczerzy, w nią później Józef z Arymatyi zebrał krople krwi ściekłe z ran Zbawiciela. Aniołowie unieśli w niebo tę cudowną czaszę, ale przynieśli ją znów na ziemię i złożyli w ręce świętego króla Tuiturela. Ów król zbudował świątynię i ustanowił zakon rycerski, powierzając mu straż nad tym bezcennym skarbem. Rycerze obowiązani zasiadać w koło okrągłego stołu, posiadają moc nadprzyrodzoną. Wolno im niekiedy przebywać w pośród ludzi, ale związani przysięgą, muszą ukrywać imię swoje. Ktoby je wyznał, zmuszony powrócić na górę i świat nie posłyszy już o nim.

Rzecz dzieje się w początkach X-go wieku, w blizkości Antwerpii. Henryk Ptasznik cesarz niemiecki przybywa do Brabantu, powołuje baronów feudalnych. Najwaleczniejszy z nich Fryderyk Felramund, staje przed tronem, oskarża Elzę, księżnę Brabantu o morderstwo własnego jej brata. Dziewica nie ma środków obrony. Sąd Boży potępi ją lub uzna jej niewinność.

Heroldowie powołują w szranki zapaśników, tłum czeka zgromadzony nad Skaldą. Nagle ukazuje się rycerz cudownej piękności, w złocistym szyszaku i zbroi przypływa na łodzi ciągnionej przez łabędzia.

Rycerz wysiada na ląd, pośpiesza do stóp pięknej Elzy.

— Jeśli będę zwycięzcą, rzecze, chceszli mi oddać rękę twoją?

Elza nie waha się... ona we śnie widziała już cudownego wybawcę.

— Warunek jeden — doda rycerz — nie zapytasz nigdy zkąd przybywam, kim jestem?

Jesteś moim aniołem zbawcą, dość mi na tem, odpowie słodko Elza.

Rycerz pokonał zapaśników. Cześć Elzy jasna jak słońce. Następują weselne gody. Lecz nieodrodna córka Ewy, nie dotrzymuje słowa. Zakochany rycerz, dręczony podejrzliwością ukochanej, wyznaje tajemnicę wobec króla i tłumu. W tejże chwili łabędź przypływa z łódką do wybrzeża, unosi Lohengrina do zaklętej świątyni.

Podczas kiedy mistrz, tworząc w koło siebie świat czarodziejski, zapominał goryczy wygnania, Liszt, który objął dyrekcyą opery w Wejmarze, postanowił odkryć przed światem całe bogactwo utworów Wagnerowskich. Przytaczamy tu wyjątek z listu kompozytora: „Spotkałem Liszta w Wejmarze w roku 1849, gdy uciekając przed reakcyą, spieszyłem do Szwajcaryi. W tym samym dniu kiedy zapadł potępiający mnie wyrok, Liszt rozpoczął próby Tanhauzera. Byłem obecny na próbie, z największem zdumieniem poznałem w nim drugiego siebie, com chciał mówić, on jasno wypowiadał, tłumaczył najwyraźniej ukryte myśli moje. Rzecz dziwna, w dniu kiedy progi domu i ojczyzny zamknęły się dla mnie, znalazłem przytułek dla sztuki mojej, pod tarczą przyjaciela!

„Później w końcu wygnania, gdy znękany, chory, zrozpaczony, przemyślałem nad smutnym losem, wzrok mój padł na partycyą Lohengrina i uczułem głęboką litość nad tem nieznanem dziełem. Chwytam pióro, piszę do Liszta, niezwłocznie odbieram odpowiedź: Lohengrin będzie przedstawiony!"

Jakoż wkrótce potem teatr Wejmarski wstrząsł się od oklasków. Wagner obecny na przedstawieniu, był świadkiem własnego tryumfu. Imię jego dotąd niepopularne, zdobywało coraz to większy rozgłos, zwłaszcza odkąd król bawarski rozmiłowany w geniuszu kompozytora, otoczył go przeważną swą opieką.

(*D. n.*)

Wieczna pieśń.

Jest piosenka cudnej treści
Zna ją nawet dziecię,
Tak uroczo serce pieści
W lat młodzieńczych kwiecie.

Z tej piosenki są usnute,
Marzeń złotych światy,
I przenosi słodką nutę
Z pałacu... do chaty.

A choć wciąż się błąka w tłumie
Różnej barwy ludzi,
Każdy dobrze ją zrozumie,
W każdym rozkosz budzi.

Do tej pieśni młodość wzdycha,
Siła jej ponętna;
Często bywa smętna, cicha,
A częściej namiętna.

Młodym daje niepokoje,
Przy nich szczęścia tyle,
Starym rzuca wspomnień roje,
Wianki na mogile...

Gdy więc radość albo męka,
Pośród ziemian gości,
Jakżeż zwie się ta piosenka?
To jest *hymn miłości!*

Szczęśliw kto tej pieśni słucha,
Głoszą ludzkie baśnie,
Chociaż płomień co wybucha,
Zwykle prędko gaśnie.

Diva.

ODWET.

KARTKA Z ŻYCIA

przez

E. ZORJANA.

(Dalszy ciąg.)

— I my szczerze panu powodzenia życzymy.

— Dziękuję tak szczerze, jak szczerem jest życzenie pani.

— Spotkanie to — dodał — z wielu względów dla mnie przyjemne. Raz dlatego, że mnie przekonało o życzliwości człowieka, który mi bardzo może być pożytecznym w życiu, powtóre, że ta jego życzliwość dodaje mi otuchy do pracy.

— Pański wuj bardzo ma być godny człowiek — uważała za stosowne wtrącić pani Studzińska — właśnie wczoraj wspominał o jego przyjeździe pan Winiarski, który w biurze budowy dróg pracuje.

Bolesław drgnął, nieprzyjemnie tknięty wspomnieniem Winiarskiego, którego nie znał dotąd, a który jak miecz Damoklesa wisiał ciągle nad nim, w opowiadaniach pani Studzińskiej.

— A, ten *jakiś* pan Winiarski — zawołał Wacław z lekkiem szyderstwem, kiedy około ust jego przebiegł uśmiech zadowolenia, zaledwo przez Helenę i Bolesława dostrzeżony — wcale nie musi być zadowolony z przyjazdu mego wuja.

— A to dlaczego? — zapytała Studzińska.

— Bo dziś rano dostał wcale niemiłą naganę za niedbalstwo i nieporządek, a popołudniu nawet, w mojej obecności podpisał wuj dekret przeniesienia go na jedną z podrzędnych stacyi.

— Co za okropny wypadek — wyrwało się pani Studzińskiej.

— Panią widzę ten Winiarski interesuje? — zapytał Wacław.

— Ah, proszę pana, bo to przecież niesprawiedliwie — odpowiedziała z oburzeniem prawie.

— Tu się pani trochę myli. O ile ja wiem i dzisiaj zaraz poznać mogłem, mój wuj należy do tych ludzi, którzy cenią pracę, a nieznoszą nieporządku i niedbalstwa. Dla fanfaronów takich, jak ten jakiś pan Winiarski — dodał z naciskiem — nauczka to doskonała.

Wiadomość ta obeszła wszystkich bardzo.

Studzińska nie posiadała się ze złości i gniewu, a musiała wszystko w sobie taić, nie chciała przecież przyznać, że ona już liczyła na pewne, iż Winiarski będzie jej zięciem. Helena nie mogła ukryć radości, która bodaj w nagłym rumieńcu na zbladłych policzkach i przelotnem spojrzeniu rzuconem Bolesławowi, odbiła się. Bolesław był także bardzo ucieszony, zdawało mu się, że powinien przyjacielowi za tę wiadomość uścisnąć dłoń. Tylko stary Studziński nie okazywał najmniejszego wrażenia. Ćmił fajkę spokojnie, jakby chciał powiedzieć: mnie to nic nie obchodzi.

Wacław chciał przerwać przedmiot rozmowy, bo widział, że zbyt wielkie naprężenie w usposobieniach wywołała jego wiadomość. Zwrócił się więc do Heleny prosząc:

— Możeby panna Helena była łaskawa trochę zagrać?

— Owszem, jeśli to tylko panu sprawi przyjemność.

Helena wiedziała, że to tak wielkiej Wacławowi przyjemności nie sprawia, lecz, że czyni to główinie dla Bolesława, który formalnie kochał się w muzyce, od czasu wszakże niełaski pani Studzińskiej nie śmiał nawet prosić Heleny o zagranie.

— Ale mnie dziś głowa boli — odezwała się pani — muzyka rozdrażnia mnie.

— A, w takim razie nie śmiałbym nawet prosić — odpowiedział spiesznie Wacław. Ubolewając niby nad cierpieniem Studzińskiej śmiał się w duchu, a po chwili z Bolesławem pożegnali się i wyszli.

IV.

Nagły wyjazd Winiarskiego nie polepszył wcale sprawy Bolesława. Pani Studzińska była zła okropnie. Pieściła się już myślą wydania Helenki za tego „przystojnego", „porządnego" pana Winiarskiego, a tu nagle los pomieszał jej szyki. Nie wiedziała na kim złość swą wywrzeć. Bolesław miał się z pyszna, ale że milczał cierpliwie i nie oponował w niczem, że wreszcie chcąc uniknąć nieprzyjemnych starć już teraz nawet co dnia nie przychodził, więc trzeba było szukać innej ofiary. Nie mógł nią nawet być Wacław, którego Studzińska posądzała, że się przyczynił do przeniesienia Winiarskiego.

Kilka razy ofuknęła męża prawie bez powodu, ale ten nie chciał znosić złości żony i opryskliwie odpowiedział:

— Dałabyś mi czysty spokój, wlazło ci jakieś licho na nos i chciałabyś trajkotać cały dzień boży a drudzy żeby słuchali.

A kiedy żona wciąż jeszcze w swojem trwała, dodał:

— To czep się stołka, albo kamienia, a ludziom nie dokuczaj, ja tu u ciebie nie jestem na służbie.

Zapalił fajkę i usiadł w kącie.

Jedyną, najcierpliwszą ofiarą mogła być Helena. Mógłby ktoś myśléć, że tej przecież matka nie będzie dokuczała, bo ani ona zawiniła, ani całem swem postępowaniem nigdy nie dała powodu do nagany. A wreszcie zdawaćby się mogło, że matka kochała swą córkę, że dla jej dobra pragnęła męża, któryby potrafił zapewnić Helenie byt spokojny i jako tako dostatni.

Tak jednak nie było. Myślą pani Studzińskiej kierowała jakaś osobista ambicya czy próżność. Chciała niby dziecku „zapewnić los" jak często mówiła, ale miłości macierzyńskiej, prawdziwej, wielkiej miłości w niej nie szukać. Bo przecież miłość prawdziwa, to obopólne zrozumienie się, to dbałość nietylko o suknie dziecka ale i o jego serce, duszę. Matka nie pytała wcale, czy córka nie przylgnęła już do kogo sercem i duszą, czy prócz tej miłości znalazłaby inne szczęście na ziemi, bo i poćóżby miała pytać o to, wszak to tak było wydoczne.

Z początku, też nic przeciw tej miłości nie miała, nie cieszyła się nią wprawdzie nadzwyczaj, ale też nie umiała się już niczem na świecie cieszyć. Zdawało się, że spokojnie odda Helenkę Bolesławowi, jak tylko ten doczeka się najpierwszego awansu, ażeby mógł dom własny utrzymać. Nagle zjawienie się Winiarskiego, który ledwo przesunął się koło nich, zbudziło w niej myśl inną. Nie mogąc już sama zdobyć dla siebie życia dostatniego, jak mniemała, chciała je schwycić dla Helenki. Myśl ta ogarnęła ją całą. Teraz dopiero zobaczyła, że Bolesław ma mało, bardzo mało, że przecież przy pracy pilnej, z której go znała, powinienby już dawno mieć większe utrzymanie, że wreszcie nie było nadziei rychłej zmiany na lepsze. Zawiązać los dziecku, nie, za nic w świecie! Tem bardziej, że trafiał się taki porządny człowiek, jak pan Winiarski. Niespełniony plan zrodził w niej upór, zaciętość, jakiej po jej dawnym spokoju nie można się nawet było spodziewać.

Widać ztąd, że Studzińska była bardzo zła.

Złość całą wywarła na Helence.

Biedna ta ofiara pradziwie godną była pożałowania. Cały dzień tyranizowana przez matkę, chwili odetchnąć nie mogła swobodnie. A kiedy ciało zmęczone pracą coraz więcej owładała bezsilność, myśl trapiąca nie dała spokoju.

Helena widziała jasno, że matka stała się nieprzychylną Bolesławowi, że mu w każdem dokucza słowie i że mu prawdziwie zatruwa chwile pobytu u nich. A kiedy w jego nieobecności Helenka kiedy wspomniała Bolesława, matka zaraz ją ofuknęła:

— Bolesław, Bolesław, ciągle tylko on, jakby to nie wiedzieć co; takich Bolesławów tysiące znajdzie na ulicy.

Helena nie mówiła już nic więcej. Ale kiedy raz znowu nieznacznie wspomniała o Bolesławie, matka już na dobre rozzłoszczona zawołała:

— Tylko ty mi nie wyjeżdżaj z twoim Bolesławem, bo ja mu i tak niedługo drzwi pokażę...

— Mameczko! — odezwała się, ze łzami błagając Helena.

— Widzisz ją, jeszcze mi tu będzie beczała —

zakrzyczała pani Studzińska — ja już raz chcę zrobić porządek. Nie potrzebuję ażeby mi tu pierwszy lepszy córkę bałamucił.

Helena osłupiała. Co się matce takiego stało, taką nie była nigdy. Ale kiedy słyszała tak dobitny sąd zdobyła się na niepojętą energię i ośmieliła się odpowiedzieć:

— Ależ on mnie kocha...

— Kocha, kocha, jaki mi tu do kochania. Bałamucić potrafi każdy, a ja tego nie potrzebuję, nie pozwalam!

— On przecież chce się ze mną ożenić — wtrąciła jeszcze raz Helena.

— Aby się tylko nie ożenił — mówiła ze złością matka — dwa lata już u nas bywa, a ani myśli o ożenieniu.

— Przecież mama wie, że czeka na podwyższenie płacy.

— Czeka, ba, to łatwo powiedzieć, a jak tego czekania będzie do skończenia świata to dziękuję. Zresztą on nigdy się niczego nie doczeka, a ja nie pozwolę, aby ciebie bałamucił. Ja na to nie mam córki.

Helena nie mówiła już nic wyżej. Tłumiła łzy aby ich matka nie zobaczyła, a cierpiała bardzo.

Kiedy była sama w pokoju, okropnie jej było smutno, nie umiała sobie dać rady z myślami, które ją trawiły.

Trwało to długo.

Matka postępowania nie zmieniła. Coraz była opryskliwszą, coraz więcej męczyła Helenę swemi napomnieniami do pracy.

A jak to dziecko pracowało!

Nieraz druga już była po północy, a ona jeszcze zajęta była robótką. Haftowała prześlicznie. Robota jej była równa, gładka; misterna, ale między drobnymi ściegami nie trudno było dopatrzéć się łez.

W dzień na lekcyach lub w domu przy fortepianie, wieczór długo nad robotą, to życie bardzo musiało być ciężkie, męczące. Cóż dziwnego, że oczy miała zaczerwienione, coraz bardziej zapadłe, a kiedy długo schylona siedziała, oddech stawał się cięższy, a podczas gry krótki, urywany.

W domu jakoś tego nikt nie uważał. Ojciec siedział zawsze w kącie z fajką; matka była przekonaną, że praca pomoże Helence zapomniéć „tego głupiego Bolesława."

A Bolesław?

Bolesław widział dobrze co się działo, ale poradzić na to nie umiał, nie mógł nic. Bywał teraz u Studzińskich rzadko, bo matka stawała się coraz nieprzychylniejsza, coraz wyraźniej dawała mu uczuć, że nie ma się czego spodziewać.

W przykrem był położeniu.

Na krok stanowczy nie mógł się zdobyć. Trzeba się było formalnie oświadczyć, ale jak, z czem? Matka byłaby go wyśmiała, byłaby mu pewnie powiedziała: „Pan sam nie masz z czego żyć, a cóż dasz żonie?" I tak często teraz mówiła z lekceważeniem o tych, którzy myślą, że im kto za ich dobre serce co da. Trzeba więc było czekać, a tu awans odkładano z dnia na dzień. Nadziei nie odbierano, ale też na nadziei się wszystko kończyło.

I w takiem to położeniu musiał patrzéć na biedną, stokroć od niego biedniejszą Helenę. Z przerażeniem widział za każdym razem, jak piękne niegdyś, rumiane i wesołe dziewczę nikło, jak bladość żółta niszczyła wszelki ślad rumieńca, a oko niegdyś takie ogniste, świecące, teraz zapadło i jakby zasłoną mglistą się powlekło.

Jeżeli matka na chwilę się odwróciła lub wyszła do kuchni pytał z niepokojem:

— Helenko co tobie jest, tyś chora?

Ona uśmiechała się łagodnie, ale ból w tym uśmiechu znać było.

— Siedziałam wczoraj zbyt późno nad robotą.

— Ależ na miłość boską, to ci może zaszkodzić, ty się rozchorujesz.

Rumieniec jakiś chorobliwy oblał jej twarz bladą. Nie odpowiadała nic, bo w tej chwili matka już była w pokoju.

Wacław, którego los Bolesława i Heleny tak żywo zajmował, nie wiedział o tem nic. Architekt u którego pracował wysłał go na miesiąc na wieś, gdzie miał przypilnować niektórych ważniejszych robót.

Niktby nie uwierzył co się stało z tego Wacława hulaki, marnotrawcy. Dziś był pracowity, akuratny, a co najważniejsza dla niego, zdolny. Miał wielkie poczucie piękna, łatwość rysunku, a że widział rzeczy wytwornych, kosztownych i pięknych wiele, nic więc dziwnego, że go pryncypał cenił i coraz większym zaszczycał zaufaniem. Chodziło teraz o wewnętrzne urządzenie nowego pałacyku; Wacław miał tem zarządzić.

Żal mu było rozstawać się z Bolesławem, ale cóż, inaczej być nie mogło. Cieszył się jednak nadzieją, że niedługo zabawi i powróci do swego przyjaciela.

— Przez ten czas znacznie więcej zarobię, a to mi się przyda; bo za te pieniądze — mówił wesoło — zasypię was na ślubie kwiatami.

— Gdzie mnie tam myśléć o ślubie — odezwał się smutnie Bolesław.

— No, no, tylko mi się nie smuć, wszystko będzie dobrze. Rywala ukrytego już nie ma, plac wolny, przypuść szturm do matuli i będzie koniec.

Bolesław jakoś nie pisywał do Wacława wiele, choć i te krótkie listy, które od czasu do czasu wysyłał, smutne były. Przykro to było Wacławowi, ale nie domyślał się istotnego stanu rzeczy. Tymczasem zajęty bardzo pracą czekał powrotu.

Lecz i w jego życiu zaszła zmiana.

Pałacyk w którym pracował leżał w najbliższem sąsiedztwie jego stryja. Trudnoż się było ukryć.

Jakoż za kilka dni wiedział już stryj o nim, a co ważniejsza, wiedział tyle rzeczy nowych i dla Wacława pochlebnych, że aż im wierzyć nie chciał. A że to był człowiek poczciwy i otwarty, który mimo całej swej szorstkości i pozornej nieczułości, jaką okazał w ostatniem widzeniu się z Wacławem przecież o nim nie zapomniał, więc wsiadł na wózek i dalejże w sąsiedztwo.

— Co ja widzę — zawołał witając zdziwionego Wacława — zostałeś mój drogi inżynierem?!

— Coś niby — odpowiedział Wacław wesoło.

Stary patrzał uważnie na bratanka. Z dawnej surowości nie zostało już nic. Zrzucił z siebie tę szorstką powłokę, w którą się zawsze w styczności z ludźmi, a osobliwie rodziną okrywał.

Chwilę niby nie wiedział co robić.

— Et, co tam, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Jak mi Bóg miły cieszę się, żeś się tak dobrze pokierował. Przyznaję ci się otwarcie, że się tego nawet nie spodziewałem. Nie gniewaj się na starego, uściskaj mnie.

Wacław uradowany tem był niezmiernie. Czuł się teraz dumnym z swej pracy. Jak mu to musiało pochlebiać, że w nim cenili powrót na drogę dobrą, że się sam garnął do niego ten, który go niegdyś tak szorstko uraził.

Wacław nie był złym wcale, więc nie żałował już teraz ani odrobiny straconego majątku, bo ta strata właśnie wyrobiła w nim tak korzystną zmianę, ona zjednała mu szczerze serca dwóch starszych przyjaciół.

Stryj nie mógł się bratankiem dość nacieszyć. Teraz był zupełnie innym. Takim nie widział go Wacław nigdy. Taki serdeczny, taki czuły, wylany, jak ojciec ledwoby być potrafił. Stary, jakby czuł się winnym wobec Wacława, tłomaczył mu się, że nie wierzył mu trochę, sądził go lekkim, marnotrawcą i zdawało mu się, że jest takim, jak tysiące, czyhających na majątki stryjów bogatych, bezdzietnych.

— Ot, przyznaję ci się otwarcie, tak cię sądziłem, no bo tak zwykle bywa na świecie.

— I miał stryj wszelką słuszność, kto wie nawet czy takim bym nie był, gdyby nie konieczność pracy, a słuszność oddać muszę, i przykład dobrego przyjaciela.

— Ha cóż robić, nie żałujmy tego co się stało. Pozwól mi się nacieszyć sobą.

— Podwójnie chcę teraz pracować, aby sobie zupełnie zasłużyć na szacunek i serce stryja—odpowiedział Wacław.

— Dobrze, dobrze mój drogi, ale ty pojedziesz ze mną?

— Chętnie odwiedzę stryja na kilka godzin, ale robota bardzo pilna teraz, a ja bym rad skończyć jak najprędzej.

— Ej, co tam robota, teraz przecież zostaniesz u mnie — zawołał stryj.

— Nie mogę drogi stryjaszku.

— Facecye, facecye, przecież ty nie potrzebujesz tu pracować, zostaniesz przy mnie, proszę cię.

— Nie, nie mogę. Muszę pracą zarobić na życie, kiedy próżniactwem i marnotrawstwem straciłem wszystko.

— Ależ ja — wtrącił stryj.

— Toby dopiero było ślicznie, znowu wyjść na pasożyta — zaśmiał się Wacław.

— Będziesz i u mnie pracował.

— Raz jeszcze nie, mój dobry stryju. Ja muszę sam się przebijać przez życie, to wyrabia hart duszy, charakter.

— Widzisz, nie dobry jesteś, stary stryj cię prosi, abyś mu osłodził jego samotność, abyś był mi synem. Proszę cię.

Wacław ucałował z uszanowaniem rękę stryja.

— I na to przyjdzie kiedyś czas. Teraz byłoby jeszcze za rychło. Kto wie, możebym wrócił do dawnego trybu życia? Muszę samego siebie wypróbować.

— Ale mi nie odmawiasz? — nalegał stryj.

— Nie.

— Więc przyjedź bodaj na kilka miesięcy, zabawisz się, użyjesz świeżego powietrza. Wy tam we Lwowie wapnem oddychacie.

— O tem później.

— Pamiętaj, że mi wielką sprawisz przyjemność.

* * *

Czas upływał Wacławowi bardzo przyjemnie. Stryj odwiedzał go często, to znowu on stryja, a tak się teraz serdecznie spokrewnili, że aż żal im się było rozstawać. Stryj próbował raz jeszcze prosić Wacława, aby został, ale daremnie.

Wacław teraz dążył do pracy. Znajdował w niej wielką przyjemność. Jeżeli ona w pierwszej chwili była tylko ratunkiem życia, teraz jego

uprzyjemnieniem się stała. A jeśli jeszcze pomyślał, że przez nią „odzyskał stryja”, jak się w liście do Bolesława wyrażał, to już jącałem swojem szczęściem nazywał.

„Bolku mój drogi — pisał w wilję wyjazdu Wacław—jutro kończę moje dzieło i wracam do Was. Praca, stryj, ty, wuj wreszcie, to istotnie więcej, niźli się kiedy spodziewałem, niźlim zasłużył. To wszystko czyni mnie szczęśliwym, praca i Wy myśl moją zajmujecie całą... czasem tylko, czasem pragnę jeszcze czegoś więcej...

„Jakiś Ty szczęśliwy! Kochasz i jesteś kochanym.”

Ten zwrot ostatni pozwalał się domyślać, że pragnieniem Wacława była miłość. Widział ją tak z blizka i zapragnął jej także dla siebie. Gdyby westchnienie zostawiało ślad na papierze, na liście byłby Bolesław ujrzał je pewno.

I cóż dziwnego, że Wacław teraz zapragnął miłości. Życie wracało mu nowe, piękne i nieznane; dlaczegożby nie miał zamarzyć, zatęsknić do tego, co teraz nazywał słusznie życia ozdobą i koroną. Czuł to dobrze, że miłość uszlachetnia, a podnoszącemu się jak Wacław pomocną by była ręką, na przyszłość drogocennym talizmanem.

Jechał do Lwowa, a w myślach plątało mu się marzenie o miłości.

— Czy ja też kiedy będę kochany tak, jak Bolesław.

. . . .

(*D. n.*)

Korespondencya z Londynu.

Zagrażająca społeczeństwu ciągle zwiększająca się liczba zbrodniarzy i włóczęgów, nawet w pośród dzieci.— Towarzystwo wstrzemięźliwości. — Towarzystwo psychiczne. — Posąg Carlyle'a. — Zamierzona kanonizacya Tomasza Morus. — Teorya Symes'a. — Utwory dramatyczne Tennyson'a.

(Dalszy ciąg.)

Do nader pożytecznych stowarzyszeń, należą coraz więcej rozkrzewiające się po całej Anglii *Towarzystwa wstrzemięźliwości*. Są one organizowane nie wszędzie według jednej modły, ale rządzą się zawsze jedną i niezmienną zasadą: zaprzestać zupełnie używania wszelkich upajających napoi i trunków. „Narodowy związek wstrzemięźliwości” i „Towarzystwo *Dobrych Templaryuszów*” przewodniczą wszystkim tym stowarzyszeniom, a filje ich rozgałęzione są na całej przestrzeni Wielkiej Brytanii. Towarzystwa wstrzemięźliwości liczą w gronie swych członków wielu duchownych wyznań chrześciańskich, starających się gorliwie, nie tylko o wytępienie pijaństwa, ale o niedopuszczenie jego rozwoju i w tym celu przemawiają wymownie z kazalnic. Tak oni, jak zarządzające komitety, starają się wszelkiemi sposobami wciągać pijaków do swoich stowarzyszeń, a dokazawszy tego, już nie spuszczają ich z oczu i wprowadzaniem w dobre towarzystwa zbawienny wpływ wywierające, odzwyczajają od wstrętnego nałogu. Aby odciągnąć robotników od demoralizujących ich szynków, zakładają *Coffee-shop* w których mogą dostać wszelkich niealkoholicznych napoi a dla rozrywki mają książki, dzienniki i zawsze trzeźwe towarzystwo. Te „Coffee-shop” najskuteczniejszą pomoc przynoszą stowarzyszeniom i liczba ich zwiększa się nieustannie. Liczba członków Towarzystw wstrzemięźliwości wynosi przeszło cztery miliony.

Ale obok tych stowarzyszeń bezsprzecznie pożytecznych, powstają w Anglii i takie do których chyba nie możnaby zastosować zasady ekonomistów, „że stowarzyszenia winny stawać się tarczą osłaniającą społeczeństwo od wymagań ciemnoty i wszelkich fałszywych doktryn”. Pragnę tu mówić o nowo założonem *Towarzystwie psychicznem* którego celem jest sprawdzanie fenomenów odnoszących się do ukazywania się duchów i dokładnego wykazania, o ile jest prawdy w baśniach kursujących po całym świecie i mających niby stanowić dowód nadprzyrodzonego stosunku, zachodzącego między naszym a po zagrobowym światem. Tak tedy nie lękając się śmieszności jaką obrzucił je sceptycyzm XIX-go stulecia, Stowarzyszenie psychiczne zawiązało się biorąc sobie za zadanie doszukanie początków wszelkich opowieści o duchach, strachach, widzeniach, przeczuciach i snach. Wszyscy niemal dziś żartują ze strachów i widziadeł, nie zdoła to jednak wybić z głowy niezliczonej liczby ludzi, wierzenia zakorzenionego w umysłach ludzkich, od początku świata. Rozum odpycha, ale wyobraźnia proteguje od najdawniejszych czasów wiarę w ukazywanie się duchów i sama nawet religia nie potępia jej bezwarunkowo, ze względu, że nie można zakreślić granic wszechmocy Bożej. Lecz jest to fenomenem nie mniejszym może od tego co Stowarzyszenie zgłębiać pragnie, że założycielami jego są dwaj poważni uczeni, panowie Sedgwick i Myers, profesorowie uniwersytetu w Cambrigde, wysoko bardzo cenieni w świecie naukowym i literackim. Oddawna już p. Sedgwick stanowi niezaprzeczoną powagę we wszelkich kwestyach psychologicznych a pan Myers wydał ważne bardzo dzieło o działalności świętego Pawła. Otóż obaj wzywają, za pośrednictwem dzienników o nadsyłanie im wiadomości o ukazywaniu się duchów, o strachach w pomieszkaniach i wszelkich wydarzeniach uważanych dotąd za nadprzyrodzone, a których powody towarzystwo obiecuje sobie zbadać i wykazać. Żądają jednak, aby opowiadane fakta były prawdziwe, stwierdzone przez osoby używające najlepszej opinii i najzupełniej zasługujące na wiarę, a nadto poddające się bezwarunkowo najsurowszym badaniom i dochodzeniom Stowarzyszenia. I nie zadziwi was pewnie, gdy powiem, że zaraz na drugi dzień po tem wezwaniu, sekretarz Stowarzyszenia odebrał całe setki przeróżnych opowieści, oraz zaproszeń o przybycie na miejsce.

Praktyczny zmysł Anglików umiejący wszystko wyzyskać, postanowił także skorzystać ze wspaniale urządzonych wybrzeży Tamizy, wznosząc na nich pomniki i posągi dla swoich wielkich ludzi. Nie jestże prawdziwie charakterystyczną cechą handlarskiego narodu, ów pomysł pozbycia się z miasta, w którem każdy cal gruntu opłaca się na wagę złota, posągów zmarłych i pogrzebanych bohaterów, żadnych już nie zapewniających korzyści i przeprowadzenia wszystkich razem na grunta na których nie można stawiać dobrze procentujących domów. Obecnie wzniesiono tam pomnik Carlyle'a, który tedy znajdzie się po śmierci w towarzystwie tych, których za życia wszystkich razem nazywał oszustami, kuglarzami lub jeszcze pijawkami wysysającemi krew ludu. Na uroczystość inauguracyi pomnika Carlyle'a, który tyle dla kraju swego położył zasług, profesor Tyndall przybył z głębi Alp, dla powiedzenia mowy mającej dowieść, że społeczność umie jeszcze wyżej cenić zasługę osobistą, nad dostojeństwa zdobyte bogactwem. Ta mowa Tyndall'a stanowić będzie piękny zabytek klasycznej literatury angielskiej, jakoteż świadectwem umysłowej wartości Carlyle'a. Przytoczony ustęp z mowy wielkiego filozofa, wypowiedzianej podczas zaburzeń ludowych z powodu opodatkowania chleba, wywołał burzę oklasków. Zaburzenia te wybuchnęły w chwili, gdy miłosierdzie publiczne wyczerpywało swe zasoby na pomoce udzielane murzynom, a serce Carlyle'a ściskało się na samą myśl o biednych robotnikach w angielskich miastach rękodzielniczych, umierających z głodu i wtedy zawołał w Exeter Hal: „Będziemyż czekać przejedzenia się dzikich po za morzami, aby dopiero wtedy zwrócić oczy na naszych, głodem dręczonych na Północy robotników? Mój Boże! w każdym z tych biednych tkaczy z Lancaschire, ginących teraz z biedy i głodu, więcej jest myśli i serca, więcej nędzy i rozpaczy, niż w całem plemieniu murzynów.” Ustęp ten z mowy Carlyle'a, skłonił ówczesnych mężów Stanu do zbawiennych rozmyślań, a opozycyę do zgodzenia się na środki parlamentarne, przyczyniające się bardzo do ulepszenia położenia klas roboczych. Oprócz tego Carlyle'owi zawdzięczać należy uzacnienie serca i umysłu dzisiejszej młodzieży angielskiej. Wielu filozofów podzielało jego myśli i zasady, ale brakło im równie głębokiego zapału i natchnienia, aby je tak wymownie wyrazić i przelać w innych.

(*D. n.*)

Pogadanka.

Jeszcze raz zabieramy głos w sprawie bardzo ważnej, lecz przykrej zarazem. Pragnęliśmy, aby została sprawą domową, lecz tak się nie stało i dziś jest zupełnie publiczną.

Sprawa to nietaktownego postępowania niektórych pism naszych i niektórych dziennikarzy.

Najpoważniejszy głos zabrał w niej „Tygodnik Illustrowany” w artykule o obowiązkach i powołaniu dziennikarstwa. Słowa Tygodnika są pełne spokoju i powagi, znajomości stosunków i poczucia obowiązku. Dzięki mu za takie traktowanie przedmiotu bardzo drażliwego.

Nie idzie tu o podstawy naukowe publicysty, bo z góry potępiamy nieuctwo, ale o dziennikarską uczciwość i godność.

Niestety, zbyt wymowne fakta mamy przed sobą, które stwierdzają, iż są tacy, którzy o tych kardynalnych podstawach zawodu publicznego zapominają, jedynie z zazdrości ludzkiego szacunku, wziętości czy powodzenia. I oto źródło ciągłych napaści, któremi przepełnione są niektóre pisma.

Wolno nam z zasadami i przekonaniami czyimiś nie zgadzać się, wolno o nie spierać się, zbijać dowody przeciwnika o ile możności silnemi argumentami, lecz nie wolno nigdy poniżać go, wyciągać na widok publiczny jego słabostki, zwalczać zarzutami dotyczącemi wyłącznie jego osoby.

A jednak tak się dzieje.

Proszę przepatrzyć pisma nasze z ostatnich kilku tygodni. Ile tam osobistych napaści, ile niegodnych nawet potwarzy. Publicyści wymyślają sobie, jak uliczne żaki! Walka nie ustaje, owszem wzmaga się i trzeba bardzo energicznej interwencyi, aby tym sporom kres położyć.

Nie chcemy dotykać spraw bieżących, lecz wspo-

mnimy tylko, jaką bronią walczą niektórzy nasi Katoni.

W czasie ciężkiej już choroby ś. p. Józefa Szujskiego, pomieściło jedno z humorystycznych pism krakowskich, paszkwil, który mocno obrażał znakomitego historyka. Ktoś z usłużnych posłał ten numer choremu do Reichenau. Dziś wypiera się redaktor, iż on tego nie uczynił.

Ale ktokolwiek dopuścił się tego czynu, niech powie czy to godziwe?!

A jednak to tylko drobny wypadek. Obecnie naliczylibyśmy w prasie potwarzy i paszkwili nie mało.

Smutno przyznać, że w ten sposób manifestuje się *postęp!* Dawniej tego nie było. Galicya, co prawda miała epokę smutnych polemik, wykraczających po za granice przyzwoitości, J. I. Kraszewski skarcił też tę swawolę srodze w powieści „W mętnej wodzie”.

Czasby już raz zaniechać tego sposobu walczenia. Zakrawa to bardzo na sposób amerykański. Radzilibyśmy też zapaśnikom przeczytać obrazek Twaina, illustrujący dziennikarstwo tej wielkiej Rzeczypospolitej. Autor przytacza tam taki np. początek artykułu: „Ten pies, redaktor ***, śmie bezczelnie szczekać i t. p.”

Zostawmy taką taktykę Amerykanom, a my miejmy na pamięci słowa J. U. Niemcewicza:

„Jeśli z ust ostre słówko się wyśliźnie,
Niech grzeczność balsam niesie małej bliźnie;
Niechaj ta prawda wszystkim będzie wspólną:
Można zadrasnąć, lecz ranić nie wolno.”

A cóż dopiero kąsać i spotwarzać!

Lecz dość tego na dzisiaj.

Wspomnieliśmy już o prelekcyach publicznych na rzecz Osad rolnych, które się już rozpoczęły. Pierwszy odczyt bardzo miał temat ciekawy. P. K. Matuszewski mówił o ubiorach, strojach i modach ze stanowiska kultury i estetyki. Wierzę, iż nasze Czytelniczki chciałyby się dowiedzieć szczegółowo, co też prelegent mówił, jak sądził stroje, a osobliwie mody? W przyszłym więc numerze pomieścimy obszerniejsze sprawozdanie a dziś prosimy o troszkę cierpliwości.

Nie myślimy wcale potępiać ciekawości, bo jej winniśmy cały rozwój nauki jaką się obecnie cieszymy. Towarzystwo dobroczynności liczy bardzo na nią urządzając tambolę na rzecz biednych. W bufetach będą siedziały panie a przed niemi stosy ciastek i cukierków z niespodziankami bardzo ponętnemi.

Każdy co kupi ciastko ciekawie zajrzy do wnętrza, czy też nie znajdzie tam złotej pięciofrankówki. Trzydzieści takich bowiem monet pomieszczono w trzydziestu ciastkach. Toż to dopiero będzie śmiechu, żartów i okrzyków zadowolnienia.

Dobry to wabik na ciekawych, chociaż nie nowy. Użył go piekarz lwowski Düll, ogłaszając, iż codziennie w pieczywie jego znajdzie się w jednym z bochenków chleba dukat w złocie. Rozkupywano też chleb Düllа ogromnie. Biedni najbardziej pragnęli zdobyczy.

Lecz nietylko ciekawość tak ważną w świecie odgrywa role i piękne pomysły zdobywają sobie ogromną wziętość. Oto w Kielcach zaledwie kasę groszową założono, rzucili się ludzie do kupowania książeczek oszczędności i trzeciego dnia już w kasie ani jednej nie było!

Czegóż więcej pragnąć!

Niechno tylko w porę kto rzuci dobrą myśl, a chętni do jej poparcia zaraz się znajdą.

A jednak czasem napada nas dziwna obojętność.

Oto dowiadujemy się, że w Wrocławiu na balu na rzecz teatru poznańskiego, Polacy i Polki niezmiernie mało byli reprezentowani i gdyby Niemców nie napadła chętka zabawy sala balowa świeciłaby pustkami.

Niezbyt to budujące!

Kiedy o Wrocławiu mowa, podzielimy się wiadomością, zaczerpniętą z tej samej korespondencyi. Mówiono u nas w ostatnich czasach bardzo wiele o moralności i niemoralności, posługiwano się cyframi i spierano dość długo. Nie o spór nam tu chodzi, lecz o sam fakt, świadczący, że moralność u nas nie upadła jeszcze tak bardzo, jak w niektórych innych krajach. Oto np. na Szlązku pruskim szerzy się ona ogromnie. Corocznie opuszcza więzienia około 20,000 osób, a jak statystyka przekonywa, opuszcza je na to, aby znowu na drogę złego wstąpić i znowu kiedyś zaludnić więzienie.

U nas przecież tego jeszcze nie ma, a spodziewajmy się że i nie będzie.

Towarzystwa filantropijne krzątają się żywo, aby położyć tamę zepsuciu. Ratując ciało, często ocala się duszę. Ileż to razy człowiek z biedy popełnia czyn karogodny. W tym kierunku zbawienną jest działalność naszego Towarzystwa dobroczynności, które krząta się obecnie około założenia przytułkowego domu dla rekonwalescentów.

Potrzebny on jest bardzo, bo znajdą w nim przytułek już nie chorzy wprawdzie, ale jeszcze słabi i niezdolni do pracy. Ileż to razy tacy nieszczęśliwi, nie mogąc na wyżywienie zarobić, powiększają szeregi żebracze i na gorszą drogę się puszczają.

Zwracamy także uwagę na fakt bardzo ważny, zapobiegania pożarom po wsiach. Większa ich część powstaje wskutek nieostrożności. Otóż dobry przykład dała nam gmina Łopienniki, zabraniając chłopcom do lat ośmnastu palić fajki, cygara i papierosy.

Gdyby tak inne wsie poszły za tym przykładem.

Słowa zachęty powinny z góry płynąć. Lud, uznając słuszność i pożyteczność pójdzie za ich głosem.

Na zakończenie jeszcze wiadomość godna przytoczenia.

W Paryżu urządzono specyalny salon sztuk pięknych, w którym mieści się około dwieście dzieł samych kobiecych. Salon jak zapewniają korespondenci, urządzony bardzo gustownie, a obrazy świadczą, iż na polu malarstwa wkrótce zajaśnieją wybitne imiona kobiece. Rzeźba jeszcze nie zupełnie się udaje. Może to za ciężka praca dla drobnych rączek pracownic.

I na naszych wystawach ilość obrazów, przez kobiety wykonanych wzrasta.

Taka emancypacya bodaj się jak najpomyślniej rozwijała.

Es. Zet.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Sahi Bej. Ład Boży, obraz z życia tureckiego. Lwów 1882 r.

Nieznany dotąd autor występujący z powyższą pracą pod imieniem Sahi-Beja, znakomicie obznajmiony ze stosunkami, zwyczajami, obyczajami i życiem społecznym w Turcyi, dał nam bez długich omówień prześliczną powieść, którą skromnie nazwał: Obrazem z życia tureckiego. Treść tej powieści czy też jak chce autor „obrazu” zawiera się w kilku słowach. Rusłem-bek, który długi czas z czerkiesami kwaterował w Polsce i tu jako muzułmanin ożenił się z panną Melechówną pod Terespolem córką osiadłego Tatara, wróciwszy na Kaukaz, dzieci z żoną pozostawił w Warszawie.

Po wzięciu w niewolę Szamila i uspokojeniu Kaukazu, Rusłem-bek wraz z rodziną przesiedlił się do Turcyi. Żona mu odumarła, miał jednak przy sobie siostrę żony pannę Maryą, córkę swą Eminę, syna Józefa i starego żołnierza Walka, Polaka wziętego w niewolę przez czerkiesów.

Rusłem-bek mieszkał w okolicy Giejwy w Dżewismejdanie, lecz ciągle był prześladowany przez Kajmakama Giejwy-soltych i innych urzędników tureckich, którzy chcieli od Rustema ściągać różne bezprawne opłaty. Kajmakam Giejwy łotr jakich mało, przy pomocy pewnego ormianina zapragnąwszz posiąść córkę Rusłema, oskarżywszy ją przed sądem duchownym o herezyą, kazał porwać i w swoim haremie osadzić. Emina jednak była już zaręczoną z Muradem synem zacnego Ibrahima Beja, człowieka wysoce ukształconego i rozumnego.

W skutek porwania Eminy, wywiązały się różne zatargi, napady, krwawe starcia, aż dopiero uśmierzyło się to wszystko, gdy panna Marya Melechówna korzystając z przybycia sułtana Abdul-Azisa do Ismidtu na spotkanie błogosławionego Alego, przy skutecznej pomocy adjutanta: Iskiender-beja, padyszachowi podała prośbę dotyczącą krzywd domowych, gdy święty turecki Ali ujàwszy za rękę Józia syna Rusłem beka, stanął przed sułtanem i wypowiedział mu słowa prawdy odmawiając udzielenia błogosławieństwa, pokąd nie uczyni zadosyć sprawiedliwości.

Po takim przejściu sułtan Abdul-Azis wypędził winnych przyśladowania Rusłema karząc ich surowo, Rusłema zaś mianował Kaimakanem Giejwy. Opowieść tę kończą zaślubiny Murada syna Ibrahima Beja z Eminą, w czasie których Walek na skrzypcach zagrał pieśń weselną ludu Podlaskiego.

W możliwem streszczeniu podaliśmy tu główną treść „Ładu Bożego” żałując mocno, że chcąc wykazać piękność tego utworu osnutego na zupełnie nieznanym nam temacie, nie możemy przytoczyć choćby pojedyncze ustępy.

Głęboka znajomość stosunków miejscowych, dalej zwyczai i tradycyi, jakoteż wyśmienite obrazowanie całości, czynią, że dzieło pomienione czyta się jednym tchem. Opis Dżewismejdanu, sceny na targu w Ismidzie, powodzi w górach, pobytu Eminy w haremie Kajmakama, dalej opis postaci takich jak Alego owego świętego tureckiego, Kajmakama Giejneńskiego, Hajrutły effendiego, Walka, Doktora Rudnickiego, Mutesaryfa, są przepysznie uchwycone i z całości występują jakby żywe.

Pracę Sahi-Beja witamy też z prawdziwą przyjemnością i całą życzliwością, życząc, aby i większą ilością prac takich literaturę naszą wzbogacił.

Wł. Kor. Zieliński.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 marca 1883 r.

Pora dzisiejsza stanowi pod względem mody prawdziwy *przednowek*. Za dwa lub trzy tygodnie, rozpoczną się wystawy po wielkich magazynach i wszystkie nowości obmyślane tajemnie przez zimę wysypią się jakby z rogu obfitości. Zanim to nastąpi musimy zgadywać zkąd wiatr powieje, co zresztą w Paryżu, nie jest tak trudną rzeczą. Ten rok tem większe daje nam ułatwienie, że cały prawie wytworny świat tutejszy, przeniósł się na zimę do Nicei, Cannes, Mentony i innych stacyi słonecznych nad brzegiem morza śródziemnego.

Ponieważ zaś tam od pierwszych dni lutego panuje w tym roku prawdziwa wiosna, ztąd magazyny paryzkie, musiały otworzyć zaklęte swoje skarby, aby odpowiedzieć na żądania oddalonych klientek. Parę dni temu widzieliśmy w magazynie *Petit St. Thomas*, położonym w sercu arystokratycznego przedmieścia *St. Germain*, cały zbiór lekkich sukien i okrywek, przeznaczony dla zamożnej rodziny przebywającej w Cannes. Te wiosenne *nowalie* opiszemy dla czytelniczek naszych.

Kilka nowych kolorów uderzyło nas w oczy.

Oprócz popielatego w rozmaitych odcieniach: *szyfrowym, stalowym, srebrnym*, uważaliśmy kolor blado poziomkowy i morelowy, zwany inaczej *saumon*. Wielką nowość stanowi też kolor *faisan* czerwono brunatny jak pióra bażanta, używany na eleganckie kostiumy i kapelusze. Pojawił się niemniej kolor zwany *poires cuites*, to jest *gotowanych gruszek*. Nazwa to bardzo ogólnikowa, inaczej bowiem wyglądają *panny*, inaczej *baby* i *duszessy*. Aby wyjaśnić zagadkę powiemy, że moda przyjęła barwę suszonych gruszek a wiadomo że w zasuszeniu i *panna* i *baba* przedstawia się zawsze brunatno.

A teraz przystąpmy do opisu kilku wiosennych sukien.

Pierwsza z nich czarna jedwabna *satin merveuilleux*, z szerokim wolantem plisowanym, na wierzch rozniesista tunika z czarnej jedwabnej grenadiny w wielkie liście czarne aksamitne. Tunika ta, z przodu tworzy wielki feston, z tyłu puff, długo spadający na wolant, podpinany rozetami z aksamitki czarnej. Stanik francuzki jedwabny, ogarnirowany u dołu koronką *chantilly*, z przodu odwracany żabot z tejże koronki.

Taka grenadina w aksamitny rzut stanowić będzie wielką nowość tegoroczną. Widzieliśmy inną suknię, w rzucane owaliki aksamitne z białą obwódką. Ta ubrana białemi koronkami, nadzwyczaj świetnie wyglądała.

Podobała nam się też lekka suknia z popielatej tkaniny *voile*, zahaftowanej w małe bukieciki, różnokolorową sznelą. Tunika złożona z fartuszka i puffu, spada na jedwabną spódnicę z gładkiej materyi, przybraną plisowanemi falbankami. Stanik gładki popielaty z podwójnym bawetem, rękawy zachodzące tylko do łokcia ogarnirowane koronką.

Inna suknia z czarnej jedwabnej grenadiny przybrana u dołu falbankami, miała z przodu długi fartuszek czarny tulowy, naszyty dżetem, stanik do tego gładki, otoczony w pasie trzema rzędami wielkich dżetowych pereł, spadających od lewego boku wzdłuż fartuszka. Kołnierz wielki zahaftowany dżetem i takież mankiety u rękawów, dopełniały ubrania.

Zasługuje również na wzmiankę suknia z lekkiego *voile*, w kolorze rozmarynowym. Spódniczka do niej jedwabna z drobnemi wolancikami. Z przodu spada udrapowany fartuszek, zahaftowany sznelą w wypukłe kulki. Z tyłu puff z gładkiej tkaniny, podpinany rozetami ze wstążki atłasowej i aksamitnej. Stanik gładki z plastronem, haftowanym sznelą. Na wierzch mantyla z tejże samej tkaniny, podbita marseliną, cała lekko zahaftowana. Mantyla ta objęta sznelową frendzlą, spada w tyle poniżej pasa, z przodu długie końce, zmarszczone u dołu, przybrane rozetami ze wstążki. Owe mantyle odpowiednie do sukien, będą podobno ogólnie przyjęte w tym roku, zarówno jak mantyle z czarnego rypsu, z sycylianki lub indyjskiego kaszmiru, zdobić je będą dżetem i rozetami.

Uważaliśmy jeszcze jedną nowość: są to kaftaniczki z czarnej koronki *Cambrey*, przymarszczone u szyi i w stanie, z wolantem spadającym od pasa. Rękawy u nich dosyć szerokie nie przechodzą za łokieć. Otacza je zwykle pasek czarny, spięty na złotą klamerkę, albo też potrójny rząd paciorków dżetowych zakończony kwastami.

Wpadły nam w oczy bardzo szczególne ubiorki na głowę, zapisujemy je dla osobliwości. Jeden z nich tworzył czapeczkę złożoną z trzech kwaterek, przylegającą do głowy. Z pod spodu jej wybiegał szynion. Czapeczka ta z aksamitu w morderowym kolorze, obszyta była koronką białą, płasko do góry odwiniętą, z pod niej wybiegał do koła rząd złotych cekinów. W pośrodku główki wpięta była kokarda ze wstążki morderowej, przytwierdzona dwoma złotemi szpilkami.

Drugi ubiorek czarny aksamitny składał się z dwóch klapek, połączonych z sobą a spadających na dwie strony głowy. Każda z nich obszyta była wkoło, czarnemi dżetowemi cekinami. W pośrodku łączyła je kokarda aksamitna pomieszana z dżetem.

Dodajmy słówko o biżuteryach. Noszą powszechnie ciasne naszyjniki, zwane *colier de chien* (psią obrożą), tak ze złota przyczernionego w ogniu, jak ze srebra białego lub oksydowanego. Uważaliśmy też naszyjniki z oksydowanych monet, zawieszonych na drucie i takież same bransoletki.

Brosze w ogólności bardzo fantastyczne, widzimy głowy kocie i sowie z błyszczącemi oczyma, psy, zające, końskie głowy, motyle, owady różnych barw, chrabąszcze, pająki i t. p. Inne znów w kształcie wachlarzyka, palety, harfy i t. p. Do najładniejszych należą emaliowane róże, bratki, bukieciki fiołków, niezapominajek lub konwalii. Naszyjniki zwykle podwłóczą aksamitką czarną.

O kapeluszach wiosennych nie pora jeszcze mówić. Widzieliśmy jednak dwa słomkowe czarne przeznaczone do Cannes. Jeden wiązany pod brodą, przybrany był rozetami ze wstążki w trzech odcieniach pomarańczowo brunatnych, drugi wielki okrągły, przystrojony piórem bażanta.

Wszelkiego rodzaju ptaszki ukażą się podobno na kapeluszach wiosennych. Czytamy w piśmie jednem, że fabrykanci piór, dopuścili się wielkiej rzezi na wróblach tutejszych, których szare piórka przysposobione chemicznie, mają przybrać jaskrawe barwy kolibrych i zamorskich lotoforów.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** „Czas” krakowski donosi, iż w 1783 roku, obchodzono już tamże stuletnią rocznicę zwycięztwa, czyli jak się wyrażano „Wiktoryi wiedeńskiej” a gdy po tejże wyprawie Jan III powracał do stolicy, *radziectwo* przyjmowało go ze świetnemi uroczystościami, czego dowodzi księgozbiór hipoteczny. Wówczas przyjętem było powszechnie iż do publicznych ksiąg grodzkich (szlacheckich) zapisywano nietylko akta i umowy odnoszące się do spraw majątkowych, lecz często i przygody dziejowe a nawet i prywatne. W następstwie zwyczaju tego, d. 14 grudnia 1683 r. stawił się przed aktami radzieckiemi sławetny rajca Jan Gaudenty Zacherla, stróż przywilejów i szafarz dochodów miejskich i wniół do tychże ksiąg uchwalony przez Senat miejski program uroczystości uczczenia i przyjęcia zwycięzkiego króla. Według tego programu miano urządzić w rynku głównym trzy wspaniałe wystawy. Główną, środkową wystawę tworzyły trzy słupy, wysokie i kształtne, a nad nimi siła nieprzyjacielskich chorągwi, buńczuków, dzid, kopii i głów tureckich. Nad tem trzy wieńce, z tych w jednym napisano: *Zwycięzcy!* w drugim: *Tryumfatorowi!* w trzecim: *Obrońcy!* Wysoko po nad wieńcami postać króla Jana III „w pełnym majestacie, na rozpędzonym koniu, z szablą w ręku,” u dołu na tablicy napis po łacinie:

Janowi III, z Bożej łaski królowi polskiemu, W. Ks. Litewskiemu i t. d. co z natchnienia Bożego, wielkością ducha, największego nieprzyjaciela chrześciaństwa potęgę i pychę pod Wiedniem i Strygonią słuszną bronią zniszczył.

Królowi swemu najdzielniejszemu, Ojcu ojczyzny najszczęśliwszemu, Sprawcy publicznego spokoju najlepszemu, Senat i lud krakowski, za wolą wszystkich poświęcają.

Przy słupach na dole umieszczony był wiersz:

Tyle ci daje przywiązane miasto, bo gdyby więcej uczynić mogło, stanąłbyś w tem miejscu cały ze złota.

Pod słupami ustawiono „czterech baszów tureckich, pięknie wyrzeźbionych i w szaty według ich zwyczaju ubranych, stojących na czterech rogach, schyliwszy przed panem swe karki i głowy.” Przy pierwszym baszy położono napis:

Tak barbarzyństwo, tak dumne karki zwycięzone leżą,
W wielkim królu Janie zwyciężył Bóg.

Przy drugim baszy:

Nauczcie się, czciciele księżyca, nie gardzić lechickiemi ludy,
Oto nawet księżyca tykają pioruny.

Przy czwartym baszy:

Niechaj karku nie podniosą pokonani nieprzyjaciele, co chcieli zgładzić chrześciańską wiarę.

Obok słupów stanęły „dwie osoby rznięte, z pra-

wej strony Mars trzymający tarczę z herbem króla i z napisem:

Lechicki Mars tryumfuje w Tobie, niezwyciężony królu, bo pod twoim zwyciężał puklerzem.

Z lewej strony statua Pallady, z herbem królowej w ręku i z napisem:

Tobie, królowo, bogini słuszne oddaje zaszczyty, bo twemi posiłkami nieprzyjaciel pobity

Wystawę otaczały ganki w kwadrat pobudowane, a na czterech rogach, na postumentach kule ogniste, mające wydawać z siebie piękne światło, które jak się wyświecą, różne ognie, race wymyślne *Vivat rex* wyrażające i sztuki różne ogniowe wyrzucać miały.

Druga wystawa, na prawo, przedstawiała miasto Szecin, które się na imię królewicza Jakuba naszym poddało; w środku miasta kolumna a na niej statua królewicza na koniu, ze zdobytym mieczem" pod nogami różne insygnia tureckie i napis:

Zdobytym Szecinem tryumfujesz królewiczu Jakubie, Ten pierwszy wawrzyn ozdabia twe skronie.

Podczas obchodu, z miasta Szecina wypadać miały race i ognie.

Trzecia wystawa, zbudowana na lewo, przed ratuszem, przedstawiała wielkiego smoka ziejącego ogniem, jako wyobraźnię wściekłości tureckiej, na którego z wieży orzeł króla Imci rzuca piorunem i tenże ma się na sztuki rozpęknąć z napisem:

Olbrzymią paszczą chciał pochłonąć Wiedeń, nie mógł — więc giń turecki smoku!

Na wierzy ratuszowej pod orłem zamieszczono wiersz:

Gromonośny ptak Lechitów, pod panowaniem Jana, Nie byłby tyle dokazał nawet pod Jowiszem.

Powyżej orła, anioł wieńczył go zielonym wawrzynem z napisem:

Zwycięztwo i cześć z wysokości!

Wszystkie te napisy pisane były po łacinie, wierszem ułożonym przez Zygmunta Zaleskiego, patrycyusza i ławnika krakowskiego. Królestwo przybyli do Krakowa w samą wigilię Bożego Narodzenia; król odbył wjazd wśród radośnych okrzyków mieszkańców, wśród uroczystości i widowisk przygotowanych naprzód już, zaraz po wiadomości o odniesionem zwycięztwie."

*** Gdzie się obrócić, wszędzie słychać narzekania na biedę, a mimo to jakież to bajońskie sumy puszczamy z dymem. *Biorąc przeciętnie*, można śmiało przypuścić, że każdy palący wydaje dziennie na papierosy i cygara 15 kop. Że zaś Warszawa liczy około 400,000 ludności, przeto ze względu, że niestety! do palących zalicza się nie mało kobiet i dzieci, liczbę palących można śmiało oznaczyć na 100,000 a zatem Warszawa wypala dziennie tytoniu za 15,000 rs., a więc 450,000 rs. miesięcznie, co uczyni rocznie 5,400,000 rs. suma olbrzymia jak na puszczenie z dymem. Gdyby było możebnem sumę taką obracać rok rocznie na cele dobra publicznego, Warszawa nasza zamieniłaby się w Eldorado.

*** Dnia 7 z. m. w Chrystyanii, król, królowa, książę Oskar i niezliczone tłumy publiczności przypatrywały się oryginalnemu norwegskiemu sportowi, to jest wyścigom na „Ski". Są to drewniane łyżwy trzy łokcie długie, trzy cale szerokie, które przywiązują się do nogi i tak przebiega się z szybkością strzały wielkie lodowe przestrzenie. „Ski" są niezbędne w Norwegii dla ułatwienia prędkiej komunikacyi. Pierwszy wyścig stanowił bieg przez dwie mile nierównego gruntu, drugi bieg przez pagórek 200 stóp wysoki, na którego wyżynie znajdował się rów 60 stóp szeroki, który z rozpędem przeskoczyć należało. Łatwo się domyśleć, że nie jeden z 80 zapaśników wywrócił koziołka, z towarzyszeniem śmiechów publiczności. Wieczorem dnia tego miało miejsce świetne i liczne przyjęcie, na którem zwycięzcom rozdawano nagrody.

*** Dawno już znanem jest zużytkowanie ciepła słonecznego dla wywiązywania pary. W Paryżu, przeszłego lata na polach elizejskich, paraboliczny kapelusz chwytał promienie i zwracając je do ogniska, wywiązywał parę potrzebną do poruszania maszyny, jednakże w skutek nadzwyczaj trudnego wyrabiania zwierciadeł parabolicznych sposób ten nie daje się użyć do praktyczniejszego zastosowania. Obecnie prassa techniczna nader żywo zajmuje się wynalazkiem p. Adam'a w Bombay, który przez proste skombinowanie zwyczajnych płaskich zwierciadeł, w daleko szerszym zakresie zużywa ciepło słoneczne do poruszania maszyny o dość znacznej sile.

Wynalazek ten może okazać się nadzwyczaj dobroczynnym dla okolic zwrotnikowych, w których brak węgla jako też i prawie wszelkiej siły naturalnej uniemożebnia założenie jakichkolwiek większych fabryk.

*** Dr. Lemonnier miał w z. m. odczyt w klubie naukowym w Wiedniu, w którym zbijał obawy szkoły Malltensa o przeludnieniu ziemi a następnie wykazał w zestawieniu porównawczem, opartem na najnowszych danych statystycznych, stosunek wzrostu ludności w pojedyńczych krajach i rasach. Wziąwszy za podstawę obliczeń swoich dziesięciolecie 1870—1880, prelegent wywnioskował iż najszybciej rozmnaża się ludność Nowej Zelandii i Australii, następnie ludność Ameryki północnej, a potem Królestwa polskiego, Jawy, Rossyi, Saksonii, Prus, Bawaryi, Danii, Skandynawii, krajów romańskich, Włoch, Francyi i Hiszpanii, a na końcu Węgier i Irlandyi. W Ameryce północnej ludność podwaja się w przeciągu lat 25, a jeśli Rossya nadal zaludniać się będzie w dotychczasowym stosunku, to w r. 2000-ym może dojść do 400 milionów mieszkańców.

*** Budują obecnie w Bostonie według rysunku kapitana R. B. Forbes, okręty nie podlegające zatonięciu. Wynalazca utrzymuje że za lat kilka będą one żeglować stale między Europą a Ameryką. Mają one być ze stali i posiadać dziesięć oddziałów, z których każdy zaopatrzony będzie w osobny przyrząd do wpompywania powietrza a wypompywania wody. Okręt taki mógłby zatonąć, lecz pływałby po powierzchni morza nawet w razie przypadkowego uszkodzenia, zwłaszcza jeżliby znajdujące się na nim towary, opakowane były w materyały nieprzemakalne. Jakże zbawienny byłby to wynalazek, jeźli rzeczywiście okaże się praktycznym.

*** Oprócz posad jakie obecnie kobiety mogą zajmować we Francyi, przyznano im jeszcze prawo ubiegania się o posady w mennicy.

*** W pierwszych dniach b. m. przypadał nowy rok chiński i uroczystość tę znaną Chu-tu obchodził w Wiedniu ambasador chiński w pałacu swej ambasady. Jestto ceremonia złożenia życzeń i hołdu cesarzowi Kurang-u. W jednym z salonów o 10-tej rano, na stoliku zwróconym ku północy, postawiono dwie zapalone różowe świece woskowe. O stół wsparta była deska mająca przedstawiać symbolicznie tron państwa niebieskiego. Do salonu tego wszedł amsador i pierwszy sekretarz ambasady i zamknęli za sobą drzwi pozostawiając resztę osób poselstwa w ubocznym pokoju. Ambasador stanął przed deską, sekretarz o kilka kroków za nim, poczem obaj rzucili się na ziemię, wybijając czołem o posadzkę dziewięć pokłonów, a następnie zwrócili się ku sobie twarzami, powtórzyli czołobitność, nawzajem sobie hołd oddając. Gdy powstali z ziemi, sekretarz składając posłowi głęboki ukłon, rzekł: Życzę Ekselencyi w tym nowym roku awansu, zdrowia i dobrej myśli, szczęścia i radości w życiu rodzinnem" poczem poseł odwzajemnił mu się, otworzono drzwi i wszedł do sali tłomacz poselstwa, dr. Kreyer, aby złożyć uszanowanie i życzenia ambasadorowi i sekretarzowi, a następnie wszyscy trzej udali się do pani ambasadorowej. Na parę miesięcy przed dniem Nowego Roku, ambasador Li-Fong-Pao, wysłał już pocztą do swego cesarza adres gratulacyjny, ażeby mógł na czas dojść do Pekinu.

Dziwna rzecz, iż Chińczycy tak umiejący przyswoić sobie wszystko co rzeczywiście jest pożyteczne lub korzystne, nie przyjęli jeszcze od Europejczyków mody zastępowania noworocznych powinszowań jakimś małym lub najczęściem nawet imaginacyjnym datkiem na biednych — mody nader wygodnej bo któżby zdołał sprawdzić czy ten i ów złożył coś rzeczywiście. Można więc bez kosztu uniknąć fatygi.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 23 Февраля 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM DRUGI.

(Dalszy ciąg.)

Nie tylko że Bianka nie utraciła nic z olśniewającej piękności swej cery, ale w ogóle stała się piękniejszą jeszcze niż przed tem, a jakkolwiek była zawsze równie żywą jak dawniej, ułożenie jej odznaczało się teraz pełną słodyczy godnością, nadającą jej wiele wdzięku. Odpoczywała teraz po dość dalekiej przechadzce leżąc na stojącej przy kominku kozetce. Przy niej stała Eliana, jeszcze w czarnym pluszowym kapeluszu, z długiem tegoż koloru piórem, co nadawało jej podobieństwo do jakiegoś obrazu Raynolds'a, w sukni ciemnej wełnianej, uwydatniającej piękną jej kibić. Czy była mniej piękną jak dawniej? Trudno było uwierzyć temu. Czy była zupełnie taką jak dawniej? I tego także nie możnaby powiedzieć. Zaszła jakaś zmiana w jej spojrzeniu, w jej głosie, w jej całej osobie, ale ta zmiana mogła tylko być widoczną dla bystrego badacza, inni nie dostrzegali jej wcale. Jak dawniej tak i teraz nie traciła na próżno ani jednej minuty; umiała zawsze znaleźć sobie pożyteczne zajęcie, i bez okazywania zbytniego pośpiechu wykonać wszystko co przedsięwzięła, w czasie właściwym, zwłaszcza gdy szło o zrobienie komuś przyjemności. Nazywano ją z tego powodu dobroczynną wróżką i trzeba przyznać że zasługiwała rzeczywiście na tę nazwę. Ona sama śmiała się tylko z tego, i dla tego właśnie Bianka nazywała ją tak często, bo lubiła jej śmiech szczery i wesoły, a dostrzegła że teraz rzadziej słyszeć się dawał niż przed tem.

— Zdejm kapelusz, Eliano, i usiądź przy mnie, odpoczniemy trochę i porozmawiamy, korzystając z szarej godziny którą tak lubię.

— I owszem, muszę tylko przyprowadzić tu jeszcze kogoś.

Wyszła i wróciła wkrótce trzymając na ręku prześlicznego chłopczyka.

— Mój Gaston! zawołała Bianka, o chodź! chodź! mój skarbie, mój aniołku!.. uściskaj ciocię Elianę, a potem chodź do mnie!..

Chłopczyk spełnił natychmiast pierwszy rozkaz matki; zerwał kapelusz z głowy Eliany i rzucił go na ziemię, a potem zarzucił pulchne rączęta na jej szyję i całował głośno w twarz, czoło i włosy, dopóki Eliana nie wyzwoliła się z jego rączek oddając go matce.

Tu znów powtórzyło się toż samo, a w końcu po wielu pocałunkach i wesołych okrzykach Eliana wzięła znów dziecko, posadziła na swych kolanach, a chcąc przerwać zbyt hałaśliwe oznaki jego czułości, włożyła mu w rączkę cukierek.

Mały Gaston nie umiał jeszcze mówić i chodzić, ale umiał kochać, dziękować, pieścić się, nawet być posłusznym, śmiać się zawsze a nie płakać nigdy, dlatego też nic dziwnego że nietylko matka ale i wszyscy nazywali go aniołkiem.

— Eliano, odezwała się Bianka, patrząc na śliczną grupę jaką w tej chwili przedstawiała jej kuzynka trzymając na kolanach dziecko, to dziecię kocha cię jak gdybyś była jego matką... Idźże za mąż abyś miała swoje własne; wierz mi że to jest najprawdziwsze, największe szczęście jakie może być udziałem kobiety.

Eliana przycisnęła z najżywszą czułością, do serca główkę Gastona, i ucałowała ciemne jego włoski.

— O! tak wierzę temu, szepnęła.

— Czem silniej sama to czuję tem goręcej pragnę aby to szczęście stało się także twoim udziałem, Eliano.

— Wszak je już posiadam, skoro mam Gastona a ty pozwalasz mi kochać go z całej duszy; gdy będziesz miała więcej dzieci, będą mi równie drogie... Nie pragnę już nic więcej.

— Dajesz zawsze wymijającą odpowiedź, rzekła Bianka, ile razy ktoś dotknie przedmiotu który już w twoim wieku powinienby cię żywo zajmować; wszak skończyłaś już dwadzieścia jeden lat, nie jesteś więc tak młodziuchną i...

— Tak, masz słuszność, nie długo nawet będę już starą panną; ale cóż to szkodzi skoro będzie to wynikiem mej własnej woli.

— Tak, zapewnie... pojmuję zresztą że przekładasz to nad związek z Horacym de Trévals, skoro ci się nie podobał, lub z panem de Kérieu, albo de Lagny, a nakoniec z tymi w ogóle którzy nadmieniali o swych zamiarach względem ciebie mojej matce, mnie a nawet Iwonowi. Lecz nadejdzie kiedyś dzień...

— Droga Bianko, przerwała Eliana kołysząc lekko zasypiającego Gastona, nie mów mi o tem więcej. Nie życzę sobie pójść za mąż; powiedziałam to twej matce, uwierzyła nakoniec że to mówię szczerze i nigdy mnie już nie namawia, a co więcej zdaje się być zadowoloną z tego że pozostanę przy niej na zawsze.

— O! wierzę temu, biedna mama! Jakże smutne byłoby jej życie bez ciebie, w czasie tej długiej i niezrozumiałej dla mnie nieobecności Raynolda.

— Stryjenka mówiła mi, rzekła Eliana rumieniąc się lekko, iż oddalił się dlatego że nie chciał się żenić z wybraną mu przez nią Konstancyą de Longvilliers.

— Nie dziwię się temu że uczynił to w pierwszej chwili, ale nie pojmuję czemu nie wraca teraz, gdy Konstancya zupełnie zapomniała o nim i pocieszyła Horacego po otrzymanej od ciebie odprawie?. Nie chciał się żenić z Konstancyą i podług mnie miał słuszność, ale powiedz mi, Eliano, czy nie podzielasz mego przekonania że... że pragnął ożenić się z inną.

Niepewne światło kominkowego ognia nie dozwoliło Biance dostrzedz lekkiego drżenia ust i rumieńca kuzynki, wywołanego wspomnieniem które usilnie tłumiła w sobie. To tylko zwróciło jej uwagę, że dopiero po pewnym przeciągu czasu Eliana od powiedziała:

— Nie słyszałam o innych powodach oddalenia się Raynolda, prócz tych które ci wymieniłam, jeźli były jeszcze jakieś, to nie mówiono mi o nich nigdy.

Bianka umilkła, a Eliana widząc że mały Gaston zasnął, wstała, wyszła z nim z pokoju i położywszy w kolebce wróciła na swoje miejsce przy kominku.

W czasie jej nieobecności Bianka zamknęła oczy jakby także zasypiała. Przechadzka zmęczyła ją widocznie i Eliana radziła jej aby poszła za przykładem syna.

— Nie, odpowiedziała Bianka, nie przeczę że zmęczyłam się trochę, ale spać mi się nie chcę, i mam ochotę zadać ci jeszcze jedno pytanie.

— Słucham cię, rzekła Eliana z pewną obawą; sądziła że ta rozmowa była już skończoną i niechętnie wracała do niej.

— Gdy myślę o tobie, mówiła dalej Bianka i widzę cię taką jak jesteś, zadaję sobie niespokojnie pytanie: czy nie dlatego odrzucasz tak nielitościwie wszystkich starających się o ciebie, że celem twych dążeń jest klasztor.

— Klasztor, dla mnie? zawołała zdziwiona Eliana. Dla mnie! powtórzyła, więc nie widzisz tego że nie mam najmniejszego powołania?

— Ale to właśnie jest bardzo dla mnie wątpliwem.

— Dla czego? czyż z powodu że lubię samotność, że kocham Boga i biednych (i to jeszcze uczuciem bardzo niedoskonałem)? Powołanie, Bianko, to coś więcej bez porównania... to wezwanie, wybór uczyniony przez samego Boga, a to szczęście mało kogo spotyka, i nie stało się udziałem twej biednej Eliany...

— Tym lepiej, odezwała się wesoło Bianka, bo w takim razie i postanowienie mojej biednej Eliany może uledz jeszcze zmianie.

— Być może... ale teraz nie myślę o tem nigdy. Jestem szczęśliwą i nie podzielam twego przekonania że są tylko dwie drogi w życiu.

Bianka chciała jeszcze coś mówić, ale znużenie przemogło jej chęci. Opuściła głowę na koronkową poduszkę i szepnęła zasypiając:

— A! gdyby tylko Raynold wrócił!

VII

W dwie godziny później, całe rodzinne kółko znajdowało się już, jak zwykle po obiedzie, w wielkim salonie. Margrabina zajęła zwykłe swe miejsce przy kominku i robiąc szydełkiem rozmawiała z Armandem o polityce, co do której jednak brak im było najświeższych wiadomości, bo poczta z powodu zasp śniegowych, nie przyszła jeszcze.

Margrabina przez ten czss prawie się nie zmieniła. Miała zawsze też samą majestatyczną postawę, tęż samą pewność siebie i tóż samo poważne i dobrotliwe ułożenie, tylko stała się drażliwszą od tej chwili, w której po raz pierwszy władza jej została zapoznaną. Spojrzenie jej zdradzało niekiedy niepokój i smutek, i było mniej łagodne niż przed tem.

Eliana haftowała przy świetle lampy, stojącej o kilka kroków od kominka, a Bianka patrzyła na Gastonka siedzącego na ramieniu ojca, z rączkami wyciągniętemi do żyrandola i wydającego radośne okrzyki gdy mu się zdawało że go dosięgnie paluszkami. Zdawało się że dziecię i ojciec znajdują równą przyjemność w tej rozrywce, ale młoda matka

wyglądała zawsze niecierpliwie jej końca, pomimo całej ufności w zręczność i ostrożność męża, dlatego też ujrzała z prawdziwą przyjemnością wchodzącą do salonu piastunkę, a za nią służącego przynoszącego na tacy listy i gazety.

— Przecie!.. zawołał Monléon. Jakże tłómaczył się roznosiciel?.. Czy to kolej żelazna czy też boczne drogi są powodem opóźnienia?

— Powiada panie hrabio, że droga wszędzie ciężka, a przez wieś Champuis tak zawiana śniegiem że niepodobna przejechać, musiał zawrócić i jechać dalszą drogą.

— Iwonie, daj nam listy i gazety, wołano, jutro dowiesz się tych szczegółów.

— Dobrze, dobrze... Co za niedołęztwo! czemu wszyscy nie poszli za moim przykładem?.. W Crécy śnieg leżał na drogach zaledwie godzinę i komunikacya nie została nigdzie przerwaną.

Mówiąc to rozdzielał listy.

— Dla pani, rzekł zwracając się do margrabiny, *Union* i list.

Margrabina uchwyciła list z żywością i spojrzała na adres, a potem rzekła wsuwając go do kieszeni:

— Dziękuję, przeczytam jutro, trudno mi już czytać przy świecy.

Nie lubiła przyznawać że doznała zawodu, ale łatwo było domyśléć się że spotkał ją teraz i że innego oczekiwała listu.

— Dla ciebie, Armandzie, dziennik i dwa listy, mówił dalej Monléon. Do Eliany jeden.

— Do mnie? zapytała zdziwiona, gdyż bardzo rzadko odbierała listy. Zdaje mi się, mówiła dalej patrząc na adres, że to od Konstancyi de Longvilliers. Przyrzekła mi wprawdzie że będzie pisać do mnie, ale sądziłam że nie dotrzyma obietnicy.

— Dla ciebie, Bianko, mówił dalej Monléon, list z paryża i *Revue des Deux Mondes*. Reszta dla mnie.

Armand zbliżył się tymczasem do stołu przy którym siedziała Eliana i zaczął obojętnie przeglądać gazetę; wkrótce jednak podskoczył na krześle, a twarz jego wyrażała zadziwienie połączone z przerażeniem, szczęściem tylko że wszyscy byli zajęci swemi listami lub papierami, i nikt tego nie spostrzegł. Spojrzał uważniej na odebrane listy, rozdarł kopertę na jednem z nich i przebiegł go szybko oczyma.

Eliana zaczęła także czytać list od Konstancyi i nagle zadrżała, rysy jej pokryły się śmiertelną bladością, krzyk przytłumiony wyrwał się z piersi. Zwróciła oczy na margrabinę, która w tej chwili miała oczy spuszczone na swą robótkę, następnie spojrzała prędko na inne osoby i przekonała się że nikt nie spostrzegł jej wzruszenia, prócz Armanda, którego wzrok spotkał się z jej wzrokiem. Zdawał się równie jak ona przerażony i zdumiony, i to dozwoliło jej domyśléć się że oboje odebrali jednę wiadomość. Wskazała mu oczyma margrabinę i położyła palec na ustach; potem zaś szepnęła pochylając się ku niemu: „Ostrożnie; mógłby to być cios śmiertelny dla niej a może i dla Bianki."

Malseigne skinął twierdząco głową i schował do kieszeni listy i gazety. Eliana wsparła wtenczas czoło na ręce, tak aby twarz jej zakrywała i pochyliła głowę nad listem. Rzeczywiście przeczytała tylko kilka początkowych wierszy, a dalej nic już rozumiéć nie mogła. Monléon odebrał kilka listów traktujących o interesach i czytał je uważnie na drugim końcu salonu. Bianka przecinała karty w *Révue*.

— Cóż pisze Konstancya? zapytała nie podnosząc głowy.

— O!.. nic... zajmującego, odpowiedziała Eliana usiłując mówić spokojnie. Same drobnostki.

Wszyscy byli więcej milczący jak zwykle, co jednak usprawiedliwiało zajęcie się gazetami i listami; ale pomimo to godziny upływały równie szybko jak zawsze, tylko że Eliana nie umiała zdać sobie z tego sprawy, i drgnęła jakby ją ktoś nagle ze snu przebudził gdy pani de Liminges zawołała na nią prosząc aby ją zaprowadziła do jej pokoju. Wstała pomimo to natychmiast, zabrała robotę, list i dziennik margrabiny i tak jak zawsze podała jej rękę. Nie wyrzekła jednak ani słowa, co zwróciło uwagę stryjenki i dla tego spojrzała na nią uważnie.

— Czy cię co boli, moje dziecię? Jesteś blada jak chusta.

— To ze znużenia... odbyłyśmy dziś długą przechadzkę.

— Więc nawet dla ciebie była dziś za długą! rzekła Bianka, zbliżając się aby powiedziéć matce dobranoc.

Margrabina przyciskając córkę do serca szepnęła: „Proś Boga aby nieobecność twego brata nie trwała już długo!.. Następnie wyszły razem z pokoju.

Iwon przeczytał tymczasem listy i zamierzał wyjść także, gdy Malseigne go zatrzymał.

— Pozostań jeszcze chwilkę, rzekł, muszę ci powiedziéć coś bardzo ważnego. Przeczytaj to, dodał, wskazując mu ustęp dziennika.

Monléon przeczytał:

Piszą z Rzymu: „Całe wyższe towarzystwo rzymskie zostało zdumione wiadomością o małżeństwie margrabiego de Liminges z młodziutką śpiewaczką, synowicą impresaria teatru Pallada."

— Niech licho porwie tych wszystkich plotkarzy i kłamców, piszących takie brednie! zawołał Monléon. Gdyby matka jego przeczytała tę niedorzeczną bajkę, mogłoby ją to zabić na miejscu.

— Niestety! Iwonie to nie bajka ale rzeczywista prawda; odebrałem list nie dozwalający mi wątpić o tem.

— Prawda? powtórzył Monléon, patrząc na niego z przestrachem.

— Tak, najściślejsza prawda odpowiedział poważnie Malseigne.

Monléon stał przez czas jakiś osłupiały ze zdumienia.

— Raynold ożenił się! rzekł nakoniec. Raynold zaślubił śpiewaczkę... *zaślubił!..* nie, to być nie może... to nieprawdopodobne!..

— A jednak prawdziwe... dlatego też chciałem uwiadomić cię o tem niezwłocznie i naradzić się z tobą w jaki sposób...

— Zaślubić aktorkę czy tam śpiewaczkę! synowicę impresaria i bez wątpienia jakąś intrygantkę! zawołał z gniewem Monléon, przerywając Armandowi. Nie, tego nie spodziewałem się nawet po Raynoldzie... Prawdę mówiąc, mój szwagier może być miłym, pięknym, zachwycającym, nie przeczę temu, ale nie dowierzałem mu zawsze, przeczuwałem że byłby zdolnym popełnić jakieś szaleństwo. Czy przypominasz sobie z jakim zapałem dowodził kiedyś: że miłość jest niezbędną do zawarcia małżeństwa i to wtenczas właśnie, gdy moje z jego siostrą zostało ułożone bez najmniejszej iskierki tego uczucia, bo wszakże nie znaliśmy się wcale, (a mogę powiedziéć śmiało że obecnie nie przeszkadza nam to do szczęścia.) A czy to nie było także szaleństwem że nie chciał zaślubić Konstancyi de Longvilliers, najbogatszej panny w Paryżu którą byliby mu dali z podziękowaniem!.. I widzimy teraz do czego to go doprowadziło.. Nie ma w tem zresztą nic dziwnego, człowiek z podobnemi wyobrażeniami zdolnym jest do wszelkich wybryków.

Iwon mówił to chodząc prędko po pokoju, a Malseigne zamyślony nie przerywał mu wcale.

— Na co się teraz zdadzą te wszystkie twoje słowa, Iwonie? rzekł nakoniec. Zresztą w owym czasie Raynold nie wydawał mi się tak szalonym jak tobie, ale gdyby nim był nawet, nie o to idzie obecnie, ale o to abyśmy obmyślili wspólnie w jaki sposób uwiadomić matkę co zaszło.

— Ani myślę podjąć się tego! zawołał z przestrachem Monléon.

— Trzeba jednak aby dowiedziała się przed nadejściem jutrzejszej poczty, gdyż wszystkie dzienniki powtórzą wiadomość, zawartą w tym który przysłano mi z Rzymu.

— Czyń co chcesz, ale ja nie powiem jej o tem. Dosyć mi już tego że będę musiał uwiadomić Biankę o tym wybryku brata i patrzéć na jej smutek. Od pewnego czasu wspominała co chwila Raynolda; dziś rano mówiąc o jego długiej nieobecności, miała łzy w oczach, można by sądzić że przeczuwała jakieś nieszczęście!.. Biedna moja Bianka! a ja tak pragnę widziéć ją wesołą i szczęśliwą... Nie rachuj także na to, Armandzie, że ona powie to matce... Pomyśl tylko jaką to gwałtowną wywoła burzę... Nie mogę pozwolić aby Bianka narażała się na zgubne skutki podobnego wstrząśnienia.

— I postąpisz bardzo rozsądnie.

— A gdyby też Eliana spełniła to ciężkie zadanie? rzekł po chwili namysłu Iwon. Margrabina tak ją teraz kocha, że może...

— Eliana! zawołał z żywością Malseigne. Niech Bóg broni, to niepodobne, niemożliwe dla niej więcej jeszcze niż dla nas wszystkich zresztą!.. Nie można o tem nawet myśléć, Iwonie... tym więcej że ja biorę to na siebie, tak... sądzę że będzie najstosowniej gdy ja spełnię to przykre zadanie.

Malseigne przepędził całą noc bezsennie. Od owej burzy przebytej w młodości, nigdy jeszcze nie doznał równie silnego wstrząśnienia. Przywykł od dawna obchodzić się ze swem sercem jak święci obchodzą się ze swojem ciałem, to jest nie zwracać uwagi na jego cierpienia; dlatego też nie usiłował zbadać czy to dawna, źle zagojona rana, czy też świeża zupełnie dawała mu się często czuć tak dotkliwie. Jeżeli jednak tak mało troszczył się o siebie, to umiał kochać innych a nawet poświęcać dla nich, i z tego powodu pozbawiała go odwagi myśl, że tak ciężki cios zamąci szczęście jego przyjaciół.

List zawierający tę wiadomość był od Myriel'a W tejże samej kopercie znajdował się drugi od Raynolda do matki i następujących kilka wierszy skreślonych ołówkiem:

„Armandzie, wszystko co pisze Myriel zgadza się ściśle z prawdą. Oddaj mej matce list który ci posyłam. Wiem że potrafisz wybrać najstosowniejszą do tego porę."

„R."

Armand położył na stole list do margrabiny, a potem odczytał uważnie pisany przez Myriel'a. Znał go dobrze i nawet za jego pośrednictwem zawiązały się przyjazne stosunki między młodym artystą i Raynoldem; wiedział jak prawy i szlachetny posiadał charakter, nie wątpił więc ani na chwilę że ma przed oczyma prawdziwe i wierne sprawozdanie z tego co poprzedziło i wywołało nieszczęsne postanowienie Raynolda. Rzeczywiście Myriel opisywał tylko w krótkości to o czem pisaliśmy w poprzedzających rozdziałach.

Armand zaczął teraz lepiej obejmować cały stan

rzeczy i uczuł pewną ulgę. Zrozumiał, pomimo wszelkich przeciwnych pozorów, że żadne poniżające uczucie nie popchnęło Raynolda do tego szalonego czynu. Że działał teraz pod wpływem takiegoż samego popędu jakiemu uległ już raz w trzynastym roku życia, gdy skoczył w rzekę z mostu aby uratować tonącą kobietę. Teraz także poświęcał swe życie dla uratowania innego; było to bez wątpienia szaleństwem i niepowetowanem nieszczęściem, ale nie było w tem nic hańbiącego, to i temu także wierzył że kobieta dla której Raynold to uczyczynił była godną tego poświęcenia.

Nie umiał tylko zrozumieć słabości Raynolda; jak mógł sprzeniewierzyć się tej wzniosłej miłości w której obronie on, jako jego przyjaciel, występował tak gorąco? Jak się to stać mogło aby jakaś inna kobieta oderwała myśl jego od Eliany?.. od Eliany która... Zatrzymał się... ta myśl wywołała w nim bolesne wzruszenie.. Jakaż to boleść dla niej! Ileż znów przecierpieć będzie musiała! Co się dziać będzie w tem sercu którego tajemnicę znał tak dobrze, pomimo że się tego nie domyślała?

Tak, co się działo w jej sercu w ciągu tej nocy którą równie jak on przepędziła bezsennie?

I ona odczytała także uważnie list Konstancyi. W pierwszej chwili myślała tylko o matce Raynolda, ale teraz do tych myśli przyłączyły się jeszcze inne, jej dotyczące i bardzo gorzkie. Zrozumiemy to łatwo czytając wspólnie z nią list młodej księżnej de Longvilliers.

„Jesteśmy w Rzymie, droga Eliano, i od kilku już dni chciałam pisać do ciebie, ale nie domyślałam się wcale że gdy pierwszy raz znajdę na to chwilkę czasu, będę mogła przesłać ci wiadomość tak dziwną, tak niespodziewaną, że ci w nią trudno będzie uwierzyć, że ja sama długo uwierzyć nie mogłam. Jednak jeśli przypominasz sobie co ci mówiłam w Erlon (i co cię wtenczas nawet oburzyło) będziesz zmuszona przyznać że odgadłam i przewidziałam wszystko.

Otóż Eliano, twój kuzyn Raynold, przebywający tu już od trzech miesięcy (i który nie wiadomo czemu ukrywał się tu starannie), piękny dumny Raynold zaślubił... wyraźnie *zaślubił* jakąś początkującą śpiewaczkę, u której, jak się zdaje przepędzał życie w czasie swego tu pobytu!.. Niektórzy utrzymują (na co zwracam twą uwagę) że ten stosunek został zawiązany przeszło dwa lata temu, w czasie pierwszej bytności Raynolda w Rzymie. To dowodzi, moja droga, że nie omyliłam się tak bardzo, tworząc (pamiętnego dnia naszego wyjazdu z Erlon) owo przypuszczenie tak cię obrażające, choć tym sposobem jedynie można sobie było wytłómaczyć dziwaczne zachowanie się względem mnie twego kuzyna. Sądzę że poweźmiesz teraz lepsze niż wówczas wyobrażenie o mojem doświadczeniu i znajomości świata.

Jednak poszanowanie dla prawdy nakazuje mi wyznać, że epoka spotkania się Raynolda z pomienioną śpiewaczką nie jest *zupełnie* pewną. Onegdaj u księżnej Hermiony Mazzolini (kobiety pięknej i bardzo miłej, której salon jest głównym punktem zebrania całego wyższego towarzystwa w Rzymie), gdy ta wiadomość spadła na nas jak bomba, zdania co do tego były bardzo podzielone. Księzna utrzymywała że dwa lata temu Raynold przepędzał większą część czasu w jej salonie, i zaręczała że wowym czasie nie słyszał nawet o tej młodej śpiewaczce (dotąd jeszcze zupełnie nieznanej nawet w świecie artystycznym). Maestro Loriani, który widywał ją często wówczas, podzielał jej zdanie, zaręczał nawet że była ściśle strzeżona przez ojca, któryby nigdy nie pozwolił na to aby Raynold zalecał się do jego córki. Lecz ponieważ to szalone małżeństwo zostało zawartem zaraz po śmierci ojca, zdaje się że było to już dawno ułożone między nimi. Tak przynajmniej zapatruje się na to stryj signoriny, impresario jednego z teatrów w Rzymie, z pod którego opieki wymknęła się tym sposobem i dlatego też teraz rozwodzi swe żale przed każdym kto go zechce słuchać. Ten biedak pragnął zapewnić synowicy świetną przyszłość, i w tym celu namawiał ją aby debiutowała w jego teatrze, w pierwszorzędnej roli, bo podobno posiada głos bardzo piękny. Bądź co bądź, to nie podpada wątpliwości że są już po ślubie i wyjechali do Sorento, gdzie zabawią czas jakiś.

„Wszyscy przyjaciele Raynolda (a posiada ich tu wielu) są przerażeni tym jego wybrykiem; lecz czemże jest ich smutek w porównaniu z tym jakiego dozna jego matka? Przykro mi pomyśléć o tem... Jednak cokolwiek stanie się dalej, Raynold nie będzie mógł mieć żalu do niej; jeżli nie zawarł równie świetnego jak bogatego małżeństwa, to margrabina bynajmniej temu nie winna i tem przynajmniej pocieszać się może iż nie ma sobie nic do wyrzucenia. Nie mogę cię prosić abyś jej wyraziła moje współczucie, gdyż byłoby to niewłaściwem z mej strony, ale szczerze ubolewam nad nią, gdyż nie zapomniałam i nie zapomnę nigdy jak była dla mnie życzliwą i zawsze pozostanę jej za to wdzięczną. Osądź teraz sama, droga Eliano, czy nie mam powodu cieszyć się z tego że przeczułam tę poniżającą dla mnie rywalizacyę i zaślubiłam Horacego, który prócz mnie nie kochał nikogo, (nie mówiąc już o tem że przez to zostałam księżną, co także ma swą wartość.) Odpisz mi prędko, droga moja, wiesz że cię kocham i będę niecierpliwie wyglądać twego listu.

„Konstancya"

Słońce ozłociło tylko na chwilę swym jasnym promieniem wiosnę życia Eliany, a potem ukryło się za tak gęstą chmurą jakby już znikło na zawsze. Nie spodziewała się ujrzeć go więcej i mężne jej ale tkliwe serce musiało długą staczać walkę zanim oswoiło się z tą myślą, teraz odniosło już nad sobą zwycięztwo i wyrzekło się wszelkiej nadziei. W zamian za to rozwinęły się w niem przymioty drzemiące tam w latach szczęścia i niezamąconego spokoju, i które tylko w smutku rozkwitają i wydają owoce. Ale list Konstancyi nietylko niweczył wszelką nadzieję na przyszłość, ale rzucał posępny cień na jedyną jasną chwilę przeszłości.

Więc to drogie, urocze wspomnienie, było tylko kłamliwem złudzeniem. Więc Raynold oszukiwał wszystkich, więc to co się teraz stało jest tylko ujawnieniem dawno już powziętych przez niego zamiarów i nie zostawiało jej żadnej pociechy, tak, żadnej, nawet tej jaką przynosi błogie wspomnienie.

VIII

Pomimo bezsennej nocy Eliana wstała jak zwykle o szósej rano, i nie rozwidniło się jeszcze gdy w godzinę później wracała z kościoła otulona futrem, zasłonięta gęstym woalem. Wchodząc do sieni spotkała tam pana de Malseigne.

— A! to pan? rzekła, wstałeś dziś tak wcześnie! Tym lepiej, bo chciałam pomówić z nim zanim nastąpi dla nich tak smutne przebudzenie.

— Wiem że pani wychodzisz bardzo rano do kościoła i wyszedłem naprzeciwko ciebie. ponieważ ja także potrzebuję porozumieć się z tobą.

Chciał rzeczywiście naradzić się z nią kiedy i w jaki sposób będzie mógł uwiadomić margrabinę o tym tak bolesnym dla niej wypadku. Pragnął dowiedzieć się czy w liście Konstancyi nie ma jakich nieznanych mu jeszcze szczegółów. A *nadewszystko*, potrzebował ją widziéć, mówić z nią, wybadać z jej twarzy jakie wrażenie sprawiła na niej ta piorunująca wiadomość, i ułagodzić jej boleść swem milczącem współczuciem, którego czuła już nie raz dobroczynne skutki, nie zdając sobie z tego sprawy.

Weszli prosto z sieni do pokoju w którym Bianka przyjmowała ubogich mieszkających w Crécy. Nazywano go *starą biblioteką*, z powodu że Iwon pozostawił tam tylko książki niegodne, według niego, zajmować miejsca w nowej, którą urządził w wieży wznoszącej się blizko pałacu i połączył z nim oszkloną galeryą, stanowiącą prawdziwe arcydzieło gustu.

Eliana zbliżyła się do okna, odrzuciła woalkę i czas jakiś stała zamyślona jakby zapomniała o czem miała mówić. Wielkie jej oczy błądziły po białym śniegowym całunie, blada, nieruchoma, milcząca, powstrzymywała łzy cisnące jej się gwałtem do oczu, a mimowolne drżenie brwi i ust zdradzało taką boleść i zniechęcenie, jakiego Armand nie dostrzegł w niej nigdy dotąd.

Po kilku dopiero minutach zapanowała nad sobą i odezwała się ocierając prędko łzę spływającą po jej twarzy:

— Czy dwa lata temu mógłbyś uwierzyć, panie Armandzie że on nas wszystkich oszukuje? Czy odgadywałeś że jest kłamcą?

— Kłamcą? powtórzył zdziwiony Armand. Czy mówisz o Raynoldzie? W takim razie nie rozumiem cię, Eliano. Popełnił bezwątpienia nieprzebaczone i niepowetowane szaleństwo, ale, o ile wiem, nieoszukał nikogo.

— W takim razie, rzekła wyjmując z kieszonki drżącą ręką list Konstancyi, przeczytaj pan to i powiedz mi o ile jest w tem prawdy.

Malseigne przebiegł prędko list oczyma, a potem zmiął go niecierpliwie w ręku.

— Jakże pycha czyni ludzi złośliwymi i bezrozumnymi! zawołał.

— Wszakże to co mi donosi jest prawdą.

— Co do szaleństwa popełnionego przez Raynolda, tak... Wszystko zresztą jest fałszem.

— Sądzisz więc, rzekła Eliana pewniejszym trochę głosem, że gdy dwa lata temu znajdowaliśmy się w Erlon, on nie kochał jeszcze tej... tej śpiewaczki?..

— Jestem o tem najsilniej przekonanym i mogę zaręczyć że trzy miesiące temu nie znał jej, a nawet nie widział nigdy.

— Dla czego więc pisze to Konstancya, jeźli to nie jest prawdą.

— A dla czegóż napisała że Horacy nikogo prócz niej nie kochał?

Eliana zarumieniła się i uśmiechnęła. Czoło jej zaczęło się wypogadzać.

— Po chwili, odezwała się już spokojniej, czy nie zechcesz mnie pan uwiadomić jak do tego doszło, nie tając nic przede mną?

Malseigne wahał sie chwilę. Chcąc opowiedziéć jej wszystko, musiałby dotknąć przedmiotu o którym dotąd nie mówili nigdy z sobą, wrócić do tej karty z księgi przeszłości, której czytać nie dozwoliła mu dotąd. A jednak teraz powinna dowiedziéć się o wszystkiem, a zresztą chciała tego był więc zmuszonym odpowiadać na jej pytania.

— Usiądź tu pani, rzekł przysuwając jej krzesło do stołu, i przeczytaj to uważnie. Mogę cię zapewnić, dodał podając jej list Myriel'a, że znajdziesz tu tylko najczystszą prawdę.

Zajęła śpiesznie wskazane jej miejsce i trzymając list w drżących rękach, przeczytała go z gorączkową żywością. Następnie odczytała go po raz drugi, ale już wolno, jakby dla zrozumienia go lepiej rozważała każde zawierające się w nim słowo.

Armand wsparty o kominek przyglądał jej się uważnie. Najprzód żywy rumieniec pokrył jej lica, bo Myriel pisał o nieszczęśliwej miłości która przygnała Raynolda do Rzymu, o jego samotnem i poświęconem nauce życiu. Potem rumieniec znikł, a w oczach jej malowało się zadziwienie i żywe zajęcie. Nie przerywała sobie czytania żadnem pytaniem, żadną uwagą, podniosła oczy dopiero gdy powtórnie list przeczytała, a Malseigne spostrzegł wtenczas że odzyskały one zwykły im łagodny i spokojny wyraz. W istocie, Elianie wszystko teraz zdawało się łatwem do zniesienia, gdy ten zatruty cierń nie zakrwawiał już jej serca, i tak drogie jej wspomnienie przeszłości pozostało czystem i nienaruszonem.

— Bogu dzięki! rzekła, miałeś pan słuszność. Nie oszukiwał nikogo!.. i składając wolno list dodała: Byle tylko matka jego mogła to zrozumieć i być pobłażliwą!..

— Znasz ją pani zbyt dobrze, odpowiedział Armand, abyś mogła sądzić że przebaczy mu kiedykolwiek tak nierozważne i niestosowne ożenienie.

— Niestosowne, tak, pod względem urodzenia... ale zdaje się ze to biedne dziewczę jest wolnem od wszelkiego zarzutu, a sądzę że to jest bardzo ważną rzeczą.

— Tak, jest to bardzo wiele dla Raynolda że może szanować żonę; chronić go to będzie zawsze od własnego poniżenia. Jednak człowiek nie może przestąpić bezkarnie jakiegobądź prawa i to jest zupełnie słusznem. Można, bezwątpienia przekroczyć jakieś prawo towarzyskie nie czyniące najmniejszej ujmy prawom Boskim i ludzkim, jednak i takie drobniejsze przekroczenia pociągają za sobą karę.

Twarz Eliany znów się zachmurzyła, a w oczach jej ukazał się wyraz zniechęcenia, tem wybitniejszy że się tam prawie nigdy nie zjawiał. Zacisnęła złożone ręce i rzekła smutnie:

— Ileż to trosk, ile cierpień na świecie; jakże niekiedy ciężkiem bywa życie!.

Wstała chcąc już wrócić do siebie.

— Już po ósmej, rzekła, za godzinę będziesz się pan mógł widzieć z margrabiną. Niech ci Bóg dopomoże spełnić to ciężkie zadanie!..

Stojąc już na progu zatrzymała się jeszcze.

— Czy zwróciłeś pan kiedy na to uwagę, o ile łatwiej jest cierpieć samemu niżeli patrzeć na cierpienia innych? Tak jesteśmy silni gdy idzie o znoszenie własnych smutków, tak słabi i nieudolni skoro chcielibyśmy pocieszyć kogoś!..

Jakiś dziwny uśmiech przebiegł po ustach Armanda.

— Tak, rzeczywiście, odpowiedział, ale gorzej jeszcze jeżeli nie śmiemy wyrzec nawet słówka pociechy... jeżli jesteśmy zmuszeni patrzeć w milczeniu na cierpienia drogiej nam osoby, której szczęście pragnęlibyśmy okupić szczęściem całego naszego życia, a nic dla niej uczynić nie możemy.

Wymówił te słowa z takiem przejęciem, że to zadziwiło Elianę. Ale znając jego głębokie przywiązanie do całej rodziny de Liminges, sądziła że je wywołało poczucie niemożności odwrócenia od niej tak bolesnego ciosu.

— Mylisz się pan rzekła; twoje przywiązanie jest tu dla wszystkich prawdziwem dobrodziejstwem i prawdziwą pociechą.

Nie omylił się przypisując tym słowom inne znaczenie nad to w jakiem wymówiła je Eliana i nie dał na nie żadnej odpowiedzi.

Gdy wyszła, usiadł przy stole, wsparł głowę na rękach i siedział tak blizko godzinę pogrążony w myślach.

Wybiła dziewiąta. W pałacu wszyscy się już przebudzili, a jednak Armand czekał jeszcze. Nakoniec wszedł do pokoju służący, aby dorzucić drzewa do ognia palącego się na kominku, i Malseigne polecił mu aby prosił margrabiny w jego imieniu, o chwilkę rozmowy jeszcze przed śniadaniem.

Oczekując na odpowiedź, odczytał jeszcze raz list Myriel'a, który zamierzał oddać margrabinie, a następnie długo i niespokojnie patrzył na list skreślony do niej przez syna. Jakież znajdowały się w nim wyznania, skargi i usprawiedliwienia? Czy potrafił znaleźć wyrażenia zdolne wzruszyć serce matki i gniew jej uśmierzyć.

Treść listu miała długo jeszcze pozostać tajemnicą dla Armanda, ale czytelnikom naszym już teraz dozwolimy ją poznać:

„Nie błagam cię o przebaczenie, matko, bo wiem że go nie otrzymam. Pomimo usprawiedliwiających mnie okoliczności, nie proszę cię o pobłażliwość, czując że obraziłem cię zbyt ciężko abym mógł mieć do niej prawo. Ale odwołuję się do twej litości gdyż przecierpiałem bardzo wiele i nigdy już cierpieć nie przestanę; odwołuję się do niej i dlatego jeszcze, że kiedyś błagałem cię klęcząc u nóg twoich abyś pozwoliła mi być szczęśliwym; błagałem cię o to w imię twej miłości dla mnie, w imię twej troskliwości o zbawienie mej duszy. Zdawało ci się, matko, że to były tylko czcze słowa, a jednak mówiłem prawdę... życie moje zostało na zawsze złamanem. Co do mej duszy, chroniło ją od upadku wspomnienie istoty czystej i wzniosłej; nie straciło ono dotąd swej dobroczynnej siły i mam nadzieję że pozostanę zawsze godnym jej i ciebie, matko, a jeźli kiedyś zechcesz mnie przywołać do siebie, będę mógł stanąć przed tobą z podniesionem czołem... O droga moja matko! czy mam pożegnać cię już na wieki? Pożegnać! a byłbym z taką radością pozostał z tobą na zawsze."

„Raynold."

Malseigne nie potrzebował czekać zbyt długo na odpowiedź margrabiny. Wstała już i mogła przyjąć go zaraz.

Wszedł wolno na szerokie marmurowe schody pokryte grubym dywanem i oświecone wielkiem łukowato zakończonem oknem, na którem był wymalowany herb Monléonów wraz z ich godłem *wszystko za wszystko.*

Przeszedł długą galeryę ciągnącą się wzdłuż całego pałacu, gdzie co krok oko zatrzymywało się na pamiątkach historycznych lub portretach familijnych. Zatrzymał się przed drzwiami prowadzącemi do pokoi pani de Liminges i spojrzał ze smutkiem koło siebie. W tej prawdziwie pańskiej siedzibie znajdowało się wszystko co mogło pochlebiać dumie margrabiny, zaspokoić jej miłość macierzyńską, przewyższając wszystko o czem marzyła dla córki; ale niestety! ileż to jej marzeń miał za chwilę zniweczyć na zawsze!.. Wahał się jeszcze czas jakiś i musiał zadać sobie przymus aby drzwi otworzyć.

Margrabina siedziała przy kominku. Gdy Armand wszedł, spojrzała na niego i natychmiast zerwała się z krzesła.

— Co się stało, Armandzie? zawołała. Przynosisz mi jakąś złą wiadomość... Mój syn... wszak tu idzie o niego?

Gdy Armand milczał, dodała:

— Zachorował?.. milczysz... Więc chory niebezpiecznie? Potrzebuje mnie, Gdzie jest?.. Jeźli potrzeba jechać natychmiast, jestem gotowa.

— Nie, nie idzie tu o nic podobnego; nie potrzebuje pani jechać...

— Nic podobnego?.. A więc może... jaki wypadek?.. zapytała blednąc. Armandzie nie przyszedłeś mi powiedzieć że...

Nie miała siły dokończyć.

— Niech się pani uspokoi, rzekł Armand, pocieszając się w duszy nadzieją że przestrach jakiego w tej chwili doznała, złagodzi ten cios jaki musiał jej zadać. Przynoszę ważną wiadomość, ale nie tak straszną jak pani sądzi. Raynold zdrów, pisze sam do pani... oto jego list i drugi jeszcze który mi polecił oddać jednocześnie.

Margrabina wyciągnęła rękę po listy wpatrując się w niego bystro. Wyraz jej twarzy zmienił się zupełnie; oczy przed chwilą jeszcze pełne niepokoju i zwilżone łzami, były teraz suche... Przeczuwała już prawdę i czoło jej zmarszczyło się a rysy przybrały wyraz zimny i dumny.

Wróciła milcząc na swe miejsce przy kominku. Malseigne wziął jej rękę i rzekł całując ją z uszanowaniem.

— Zaklinam panią, bądź dla niego pobłażliwą... miej nad nim litość... słuchaj jedynie głosu twego macierzyńskiego serca!..

— Dosyć już, Armandzie, rzekła margrabina wysuwając rękę, wszelkie rady są dla mnie zbyteczne, potrafię sama osądzić co mi czynić wypada. W tej chwili nie potrzebuję nic więcej jak tylko pozostać samą.

Malseigne znał ją tak dobrze że nie próbował nawet powiedzieć coś więcej i wyszedł natychmiast z pokoju.

Iwon tymczasem namyślał się długo w jaki sposób mógłby przygotować żonę do tak smutnej wiadomości, a w końcu powiedział jej wszystko nagle, nie zachowując żadnej ostrożności, gdy zaś Bianka zalała się łzami, taką mu to sprawiło przykrość, że dla ulżenia jej sobie wyraził się o Raynoldzie w sposób powiększający jeszcze zmartwienie Bianki. Pierwszy raz od dnia ślubu rozgniewała się na męża; powiedziała mu że jest okrutny, że jej dokucza i że zrobi najlepiej jeźli zostawi ją samą. Iwon wyszedł z pokoju mrucząc, rozgniewany na żonę, rozłoszczony na siebie i tym energiczniej złorzeczący Raynoldowi.

Szczęściem pomyślał o Elianie i on także jak inni czuł dobroczynny i uspakający wpływ jej obecności, i dlatego też udał się się natychmiast do niej i nie pukając nawet otworzył drzwi do jej pokoju.

— Bianka prosi cię do siebie, rzekł prędko. Odebrała bardzo przykrą wiadomość.

— Tak, wiem o tem.

— Ach! tem lepiej, nie potrzebuję powtarzać ci tego... Ale idź do niej zaraz.

(*D. c. n*).

Opis do N-ru 10.

(Dalszy ciąg).

N. 4. Kapelusz z piór strusich.

Fasonik z prostą główką z przodu 8, z tyłu 4 c. wysoką i z rondkiem z przodu 11 c. z boków 8, a z tyłu tylko 2 cent. szerokiem, pokryty jest całkowicie strusiemi piórkami, oddartemi od sztywnych środków. Przybranie stanowią krótkie całe piórka przypięte z boku na wierzchu główki. Końce do wiązania 80 cent. długie 6 i pół szerokie, dane są z aksamitu i podszyte atłasem.



N. 1. Negliżyk z gazy i koronki. Patrz r. 31 w N. 9.



N. 2. Suknia z koronkowym żabotem.



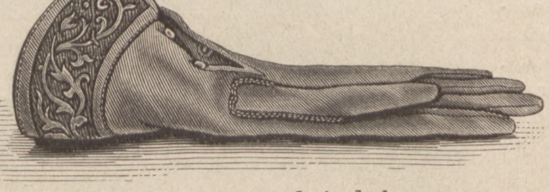
N. 3. Suknia z pluszowym stanikiem. Patrz ryc. 49. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 31—36.

N. 5. Rękawiczka do jazdy konno.

Jelonkowa rękawiczka stębnowana podwójnym szwem dopełniona jest szeroką skórzaną sztylpą ozdobioną wytłaczanem deseniem.



N. 4. Kapelusz z piór strusich.



N. 5. Rękawiczka do jazdy konno.

N. 6—7. Kapelusz okrągły dla małej dziewczynki.

Ryc. 6—7 przedstawiają kapelusz, którego główka jest bufiasta aksamitna, a rondko 8 cent. szerokie, odwinięte w górę, jest z atłasu marszczonego na druciki; atłas składa się podwójnie i brzegiem rondka wypuszcza w nagłówek. Główka przyszywa się szwem odwracanym i lekko opuszcza w bufkę, a z prawego boku przysłonięta jest kokardą z siedmiu pukli po 13 cent. długich ułożonych z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej. W kokardzie danej z tyłu pukle są po 20 c. a końce po 36 c. długie.

N. 11—19. Oprawa na książkę do nabożeństwa i dwie zakładki. Robota wyciskana na safianie. Patrz ryc. 20 w N-rze 9 tudzież fig. 62—65 na arkuszu.

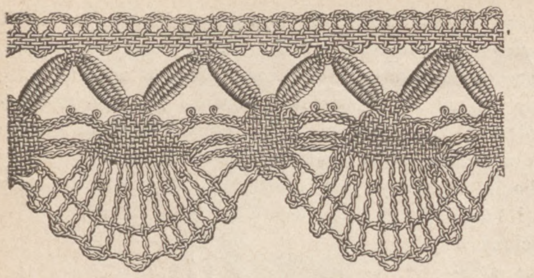
Wzór na oprawę książki wzięliśmy z królewskiej biblioteki w Dreznie, z książki zachowanej z r. 1577; robota wyciskana na safianie bywała ozdabiana w XVI i XVII wieku kosztownem złoceniem i malowaniem jasnemi kolorami, następnie starano się naśladować ją wyciskaniem deseni w maszynie, dziś znów pierwotny rodzaj roboty wraca w użycie i dla tego załączamy tu opis szczegółowy. Za materyał służy mocna zupełnie gładka skóra, dopasowana w jednostajnym kawałku na obie połowy oprawy i grzbiet; przy robocie potrzebny jest ołówek do kopjowania, ostry nóż a raczej rylec i 15 c. długi pręcik kościany w obu końcach płasko szpiczasto zakończony; przybory te widzimy na ryc. 11—13. Przenosząc deseń na skórę potrzeba ją zwilżyć, deseń przybić gładko na wierzchu skóry ćwieczkami, a następnie kontury starannie odznaczać ołówkiem ołowianym. Odcisną się one zupełnie dokładnie na skórze, potrzeba tylko po zdjęciu papieru z deseniem, pogłębić je delikatnie rylcem. Następnie powierzchnię skóry pociąga się wodą pendzelkiem, a kontury deseniu wytłacza kantem linijki kościanej, przez co tworzy się jakby brzeg ciemniejszy przy deseniu. Poczem znowu wilży się



N. 6. Kapelusz okrągły dla małej dziewczynki. Patrz r. 7.



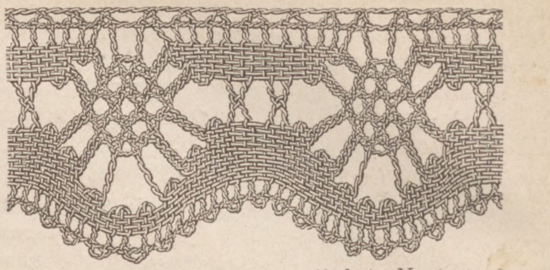
N. 7. Kapelusz okrągły dla małej dziewczynki. Patrz r



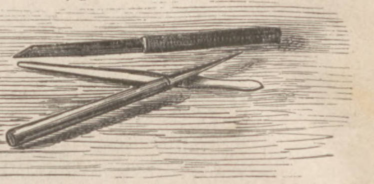
N. 8. Koroneczka niciana robiona ręcznie. Napięcie deseniu na arkuszu fig. 67.



N. 10. Ramy pod przykrycie do szkatułki. Patrz r. 28.



N. 9. Koronka niciana (brazylijska). Napięcie deseniu, patrz fig. 68.



N. 11—13. Rylec, ołówek do kopjowania i pręcik kościany. Przybory do roboty wyciskanej na safianie, r. 14—16.



N. 14. Wierzchnia połowa oprawy na książkę r. 15. Deseń wyciskany na safianie. Patrz r. 20 w N. 9.

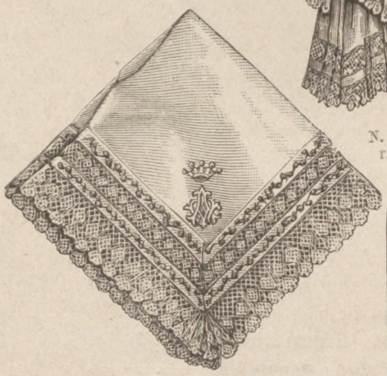


N. 20. Plecy do r. 28 w N. 9.



N. 21. Plecy do r. 29 w N. 9.

skórę w miejscach stanowiących tło śród deseniu i czubkiem kościanego pręcika wytłacza punkciki, gęsto rozrzucone, tudzież wyciska żyłki w deseniu, na spodniej połowie oprawy kostką wyciska się gwiazdki stanowiące deseń podług fig. 62 na arkuszu z krojami. Ażeby deseń odznaczał się wypukłej potrzeba po zrobieniu



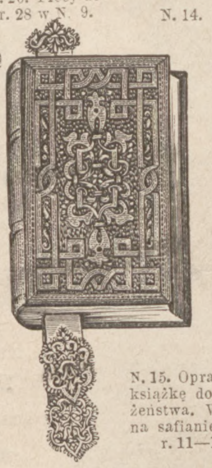
N. 22. Chusteczka batystowa z hafcikiem i koronką nicianą. Patrz r. 23—24.



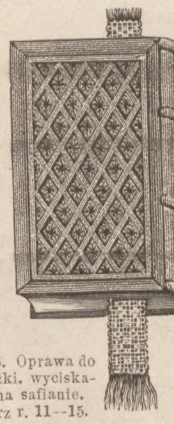
N. 25. Chusteczka batystowa z haftowanym szlakiem.



N. 23—24. Szlaczki do ryc. 22.



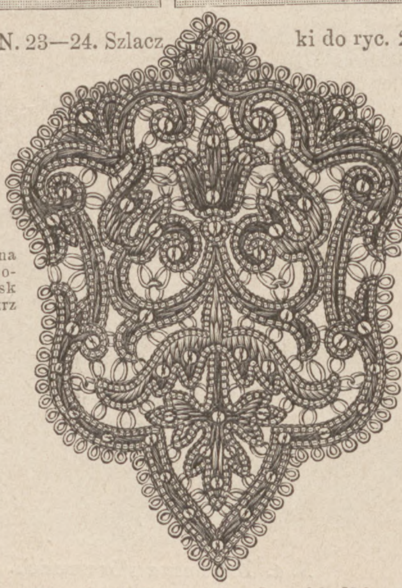
N. 15. Oprawa na książkę do nabożeństwa. Wycisk na safianie patrz r. 11—16.



N. 16. Oprawa do książki, wyciskana na safianie. Patrz r. 11—15.

N. 17. Zakładka z haftem maurytańskim. Patrz r. 18 i fig. 64—65.

N. 19. Zakładki do książki.



N. 18. Zakończenie do zakładki r. 17.

punkcików na tle, jeszcze raz zwilżyć skórę z wierzchu i od spodu, poczem wszystkie kontury starannie kostką wytłoczyć niezachodząc na tło. Lewą i prawą stronę oprawy przedstawiają w zmniejszeniu r. 15 i 16. Ryc. 17 i 19 wskazują dwie zakładki do książek, jedna z nich ozdobiona haftem maurytańskim wskazanym na ryc. 18, monogram dany na drugim końcu zakładki daje fig. 64 do 65. Na ryc. 19 dajemy wzór do zakładki siatkowej odrobionej z kolorowego jedwabiu.

N. 22—24. Chusteczka batystowa z haftem i koronką.

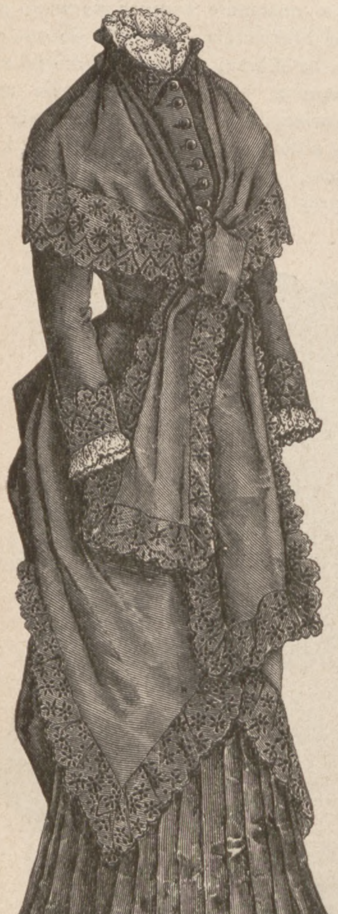
Środek batystowy liczy w kwadrat 27 c., szlak zaś jest 6 cent. szeroki i składa się z wszyweczki nicianej 1 i pół cent. szerokiej, z koronki 3 cent. szerokiej i z dwóch szlaczków batystowych 1 c. szerokich podanych na r. 23—24, haftowanych bawełną N. 100.

N. 25. Chusteczka batystowa. Deseń patrz fig. 63.

Tło liczące w kwadrat 28 cent. ozdobione jest w około brzegów haftem 4 cent. szerokim i szeroką koronką na którą zachodzą przyszyte z wierzchu, haftowane ząbki.

N. 26. Suknia z chusteczką szalową, dla młodych mężatek. Krój chusteczki na arkuszu N. XI, fig. 24.

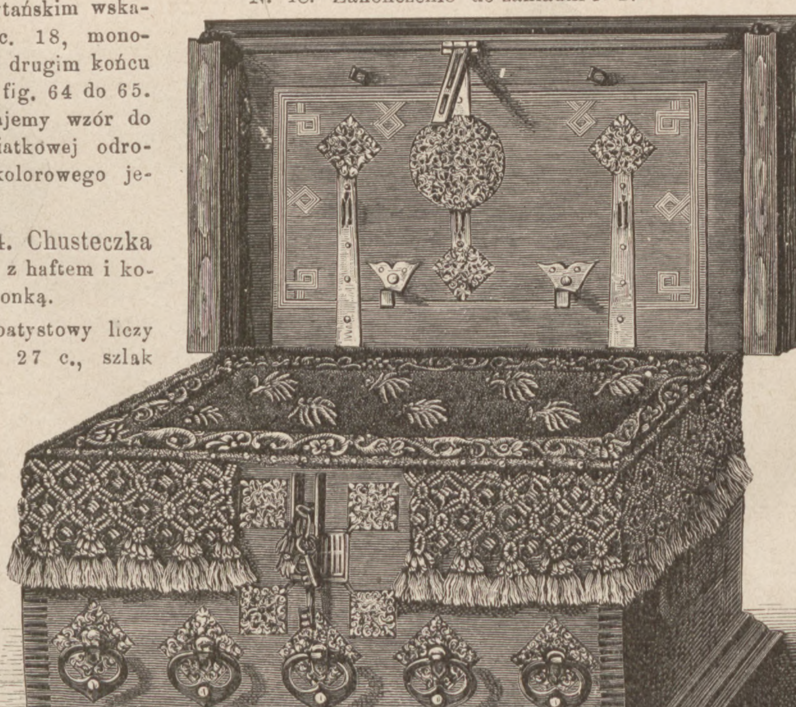
Odrobiona z ciemno bronzowego kaszmiru i oszyta szlakami haftowanemi 12 i 6 c. szerokiemi, składa się ze spódnicy, vêtement i chusteczki. Wymiar tej ostatniej wskazaliśmy na fig. 24; jak widzimy potrzeba na nią długiego, prostego bryta, któremu nadaje się formę przez wielokrotne przemarszczenie materyału wzdłuż na 29 cent. od środka, zostawiając w górze



N. 26. Ubranie z pelerynką dla młodej mężatki. Krój na arkuszu N. XI, fig. 24.



N. 27. Ubranie z półwcinanym paletotem, dla młodej mężatki. Krój na arkuszu N. 1, fig. 1—5.

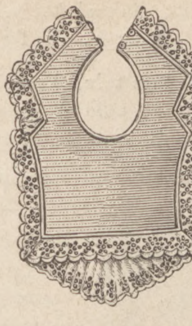


N. 28. Szkatułka z haftowanem przykryciem wewnątrz. Haft turecki srebrem, patrz r. 4—5 w N. 9.

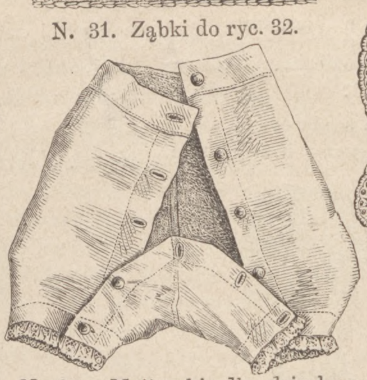
nagłówek 2 cent. szeroki i przyciągając nitki do 28 cent. całkowitej długości; o 25 cent. poniżej marszczenia chusteczka z każdej strony zebrana jest w fałdy. Chusteczkę oszywa się szlakiem 12 cent., końce zaś wiążące się z przodu 6 cent. szerokim. Przody vêtement przyciśnięte paskiem idącym od boków rozchodzą się u dołu i tworzą dwa zęby oszyte szlakiem.



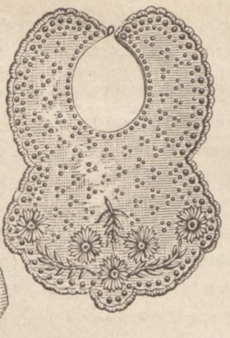
N. 31. Ząbki do ryc. 32.



N. 29. Napierśnik z falbanką. Krój na arkuszu N. IX, fig. 22.



N. 32. Majteczki dla dziecka. Krój na arkuszu N. IV, fig. 13.



N. 30. Napierśnik haftowany. Krój i deseń na arkuszu N. X, fig. 23.

N. 27. Ubranie z półwciętym paletotem, dla młodej mężatki. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5.

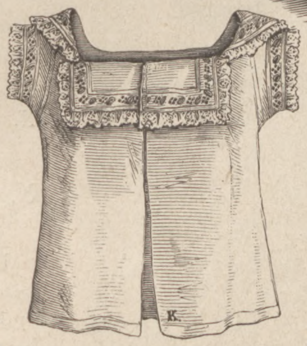
Może być odrobione z miękkiego wełnianego lub jedwabnego materyału; przy spódnicy u dołu dana plisowana falbaneczka, wyżej szeroki wolant układany w podwójne płaskie kontrafałdy zachodzący pod draperyę podpiętą z przodu fartuszkowo z tyłu suto nabufowaną przez podpięcie z długiego, prostego bryta. Suknia ta ma gładki stanik, przykryty wolnym paletocikiem na jedwabnej podszewce, z brzegami objętemi aksamitną wypustką i z kołnierzykiem stojącym aksamitnym. Części kroju składają się podług odpowiednich liter; linija prosta na fig. 1 oznacza brzeg prawej połowy przodów, zachodzącej na bok, jak to rycina 27 wskazuje.



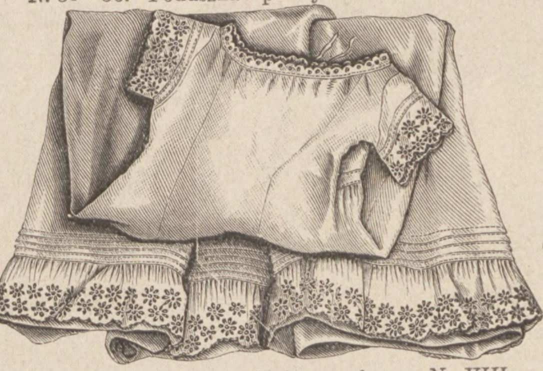
N. 33. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku.



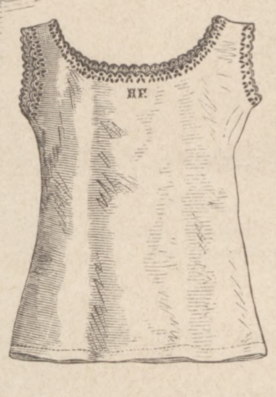
N. 35—36. Poduszka i pierzynka do kolebki r. 44.



N. 37. Koszulka dla niemowlęcia. Krój na arkuszu N. VI, fig. 15.



N. 39. Sukienka spodnia. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 17—21.



N. 38. Koszulka dla dziecka Krój na arkuszu N. V, fig. 14.



N. 34. Płaszczyk dla małego dziecka. Krój na arkuszu N: XVI, fig. 48.



N. 40. Ogrzewacz do nóg.



N. 41. Poduszka do noszenia dziecka, związywana z boku. Krój podług r. 42.

N. 28 i 10. Szkatułka z haftowanem pokryciem wewnątrz. Haft turecki srebrem. Patrz ryc. 4—5 w N. 9 i fig. 27 i 61 na arkuszu.

Ażeby przedmioty zawarte w szkatułce nie kurzyły się przy otwarciu tejże, praktycznie jest dawać do środka przykrycie założone na odpowiednio dopasowanych ramach drewnianych, które może być wspaniałe lub mniej kosztowne, stosownie do szkatułki. Na r. 28 przedstawiliśmy starożytną szkatułkę, z ozdobnym zameczkiem, okuciami i antabami, do której przykrycie było z ponsowego pluszu haftowanego srebrem, haftem tureckim. W N. 9 daliśmy deseń szlaku a na ryc. 4 wskazaliśmy sposób wyszycia srebrem. Tło, na którem haft turecki ma się wykonać, musi być wszyte w krosienka; deseń wywodzi się i podkłada bardzo wypukło miękką białą bawełną, którą przytrzymują ściegi poprzeczne. Haft srebrny wyszyty pięcioma razem nitkami, z których trzy gładkie a dwie kręcone (bajorek), nitki te przytwierdzone są ściegami idącemi z boków brzegiem deseniu, jak to ryc. 4 wskazuje, przyczem trzeba zwracać baczną uwagę ażeby nitki srebrne układały się płasko i nie zachodziły jedna na drugą. Brzegi przykrycia otacza wspaniała frendzla.

N. 29. Napierśnik z falbanką. Krój na arkuszu N. IX, fig. 22.

Falbaneczka haftowana otaczająca w około brzegi wpuszczona jest między pikę a perkalową podszewkę i przystębnowana; u dołu dana dwa razy w ten sposób iż rząd spodni wysunięty w ząb. Wykrój szyi oszyty skosem.



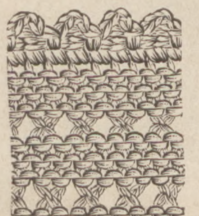
N. 42. Poduszka do noszenia dziecka. Krój na arkuszu N. XX, fig. 60.

N. 30. Napierśnik z haftem. Krój i deseń na arkuszu N. X, fig. 23.

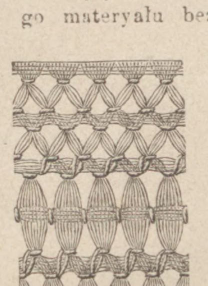
Uszyty z mocnego angielskiego materyału bez podszewki,



N. 43. Ubranie dla piastunki. N. 44. Kolebka ozdobna i pościel dla dziecka. Patrz r. 35—36.



N. 45. Tło na drutach do r. 12 w N. 9.



N. 46. Kratka ażurowa, do r. 16 w N. 9.



N. 47. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5. Patrz r. 48.

fig. 23 daje formę napierśnika i zarazem deseń francuzkiego haftu. Wykrój szyi otacza gładkie dzierganie.

N. 31—32. Majteczki dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV, fig. 13.

Składają się z dwóch części zszytych środkiem z sobą, przez co dadzą się lepiej dopasować; górny brzeg z tyłu w środku trochę sfałdowany, wszyty w pasek 50 c. długi a 3 i pół cent. szeroki, zaś brzegi boczne i dolny mają przystębnowaną listewkę 2 i pół cent. szeroką: guziki i dziurki dają się podług r. 32 i fig. 13. U dołu ząbeczki szydełkowe.

N. 33. Sukienka dla dziecka noszonego na ręku.

Krój sukienki dopasować można podług ryc. 39; za materyał służy tybet w kratkę białą z niebieskiem. Przód sukienki zdobi u dołu pięć skośnych falbanek, po 8 cent. szerokich, naszytych dwoma rzędami sutaszu. Wzdłuż przodu dane trzy pliski wyszyte sutaszem; plecy i bok zakończone trzema rzędami sutaszu. Szarfa idąca od boków z pod plisek i związana z tyłu w kokardę liczy 15 cent. szerokości a po 96 długości.



N. 49. Suknia z pluszowym stanikiem. Patrz r. 3. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 31—36.

N. 50. Suknia ze stanikiem z kamizelką. Krój stanika na arkuszu N. XIII, fig. 31 do 35. Krój draperyi N. XIX, fig. 59.

N. 37. Koszulka dla maleńkiego dziecka. Krój na arkuszu N. VI, fig. 15.

Koszulka otwarta z tyłu, kraje się podług fig. 15, dającej przednią i tylną połowę stanu, wraz z wykładem górnym i bocznemi, oszytemi wszywką i koroneczką.

N. 38. Koszulka dla dziecka. Krój na arkuszu N. V, fig. 15.

Przednią i tylną połowę stanu kraje się w jednym ciągu na ramionach a szwy dane tylko z boków; wykrój szyi i pachy zakończone hafcikiem.



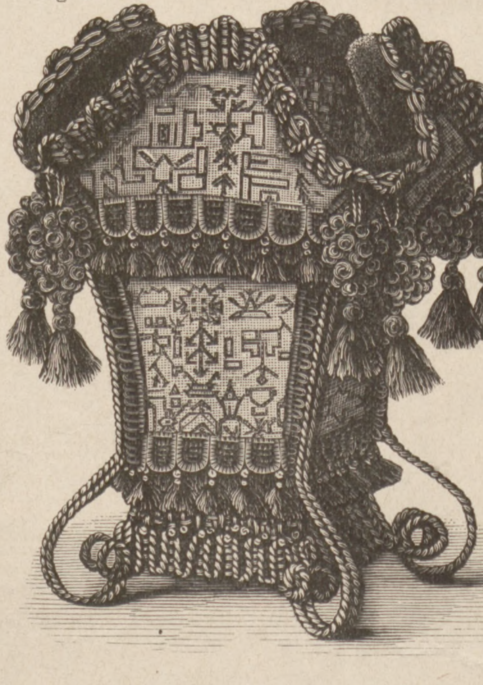
N. 48. Ubranie dla dziewczynki lat 3—5. Patrz r. 47.

N. 39. Sukieneczka spodnia formą princesse.

Uszyta z cienkiego perkalu, ma przód i boki krajane gładko formą princesse, plecy krótko odcięte dopełnione są prostym brytem, zmarszczonym w górze za pomocą listewki podszytej od spodu. Na przyszyciu bryta do pleców dana listewka 2 c. szeroka. U dołu sukienki dana falbanka haftowana, 8 c. szeroka, przystębnowana pliską, wyżej zaś kilka wązkich zakładek. Rękawki zakończone haftem; górny wykrój stanika urządzony do ściągania oszyty ząbkami. *(D. n.)*



N. 52. Ubranie negliżowe formą princesse. Krój i plecy na arkuszu N. II. fig. 6—10B.



N. 51. Kosz do papierów.

N. 34. Płaszczyk dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 48—52, deseń fig. 66.

Uszyty z bronzowego kaszmiru na ponsoej kaszmirowej podszewce, lekko podwatowanej i przestębnowanej; pod kołnierz i pelerynę nie daje się waty. Łatwy krój nie wymaga opisu; rękaweczki wszyte są w mankiety po 19 c. długie 2 c. szerokie, zapięte na guziczki.



N. 53. Suknia z vêtement.